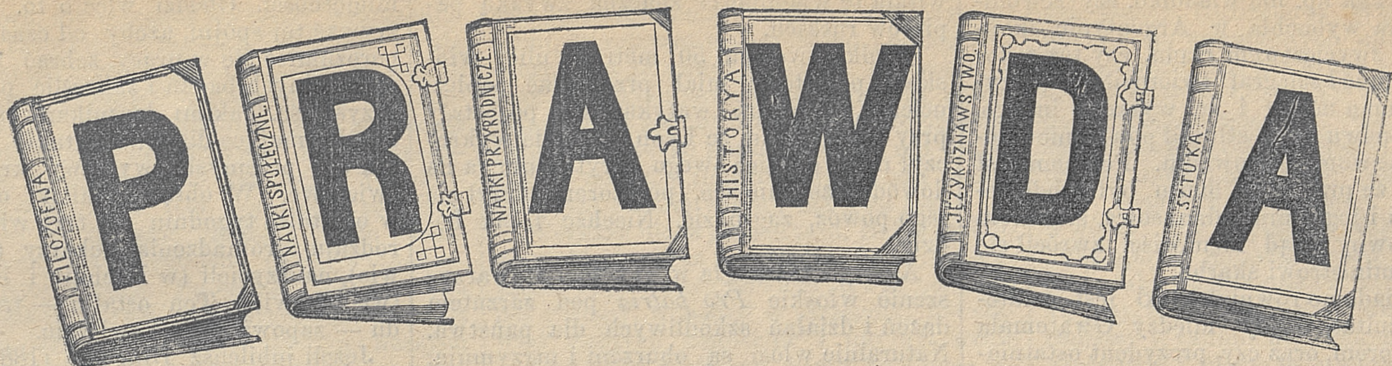
Nr. 31. Warszawa, dnia 2 Sierpnia (21 Lipca) 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZARYS SIELANKI.

Pomnożywszy swoje pogotowie wojskowe, niemcy zajęli się obrabianiem idei przymierza z... Francyą. Myśl ta ma swoje uzasadnienie ekonomiczne i psychologiczne: po każdym nowym wydatku na powiększenie armii uczuwają oni pustkę w kieszeni i goryczą w duszy. Wtedy staje przed nimi złudna mara i mówi: jakby to było dobrze i przyjemnie, gdyby raz zniknęła dręcząca zmora odwetu francuskiego, gdyby stosunki z sąsiadką zachodnią przybrały postać przyjazną, gdyby koszula Dejaniry, szyta z Alzacyi i Lotaryngii, przestała palić... Wyobraźnia się tem marzeniem rozpala, serce mięknie gotowością do ofiar i wylewa swe rojenia w broszurach politycznych. O jednej z nich mówiliśmy niedawno; teraz mamy dwie, a można się spodziewać, że skwar letni, usposabiający do akademickich rozmyślań, wyda ich więcej. Jedna z tej pary należy do autora bezimiennego, który swoim ziomkom daje taką radę: „Niech Niemcy zrzekną się posiadania Alzacyi i Lotaryngii i oddadzą te prowincye ich mieszkańcom, którzy je przyjmą wdzięcznem sercem od potężnego cesarza, dziedzica wspaniałej sławy. Niech następnie kraj ten zostanie powierzony rządom jakiegoś księcia niemieckiego, Hohenzollerna, a jego neutralność — poręczona przez całą Europę.“ Zwłaszcza Anglia i Włochy chętnie zgodzą się na to dla ostatecznego przecięcia możliwości wojny między Niemcami i Francyą. Wtedy pozostałe państwa neutralne: Belgia, Holandya, Luksemburg i Szwajcarya powinnyby z Alzacyą i Lotaryngią utworzyć związek ku wzajemnej obronie. Francya byłaby z takiego obrotu rzeczy zadowoloną. „Skoro zaś tym sposobem usunięty by został powód do nienawiści między nią a Niemcami, nie istniałby dla obu państw żaden punkt sporny i nie przeszkadzałby im połączyć się we wszystkich innych zagadnieniach, wstrząsających Europą, i rozwiązać je pokojowo.“ *Post tenebras lux* — po ciemnościach nastąpiłoby światło.

Dymisyonowany „oberstlieutenant“ Köttschau, autor drugiej broszury, również oświadcza się za pojednaniem, ale przystępuje do niego ostrożniej, broniąc swej myśli głównie rozważaniem stosunków politycznych. Według niego Francya powinna w Niemczech widzieć „przedmurze“ przeciwko Rosyi i osłonę Europy zachodniej; wyraża on nawet nadzieję, że „niedalekim już jest czas,“ kiedy oba niesłusznie i niepotrzebnie poważnione z sobą państwa połączą się dla odparcia wspólnego niebezpieczeństwa.

Idea przymierza niemiecko-francuskiego zaświtała również w piśmie angielskiem *Contemporary Review*, gdzie dwa promienie obu wspomnianych broszur zlały się w jeden, mianowicie wykazano potrzebę ustępstw terytoryalnych dla Francyi (Lotaryngii z Metzem) i spójni z Niemcami w zobopólnym tych państw interesie. Obecny sojusz Rzeczypospolitej jest, według autora, „nienaturalny.“

Wszystkim podobnym rojeniom postanowił obciąć skrzydła znany poseł Bamberger, który rozprawił się z niemi w *Nation*. Zwrot zabranych prowincyj wydaje mu się niemożliwym i nierozsądnym. „Oddanie Lotaryngii — powiada on — pociągnęłoby za sobą szkodę dla Niemiec, ożywiłoby bowiem i wzmocniło w alzatczykach chęć połączenia się z Francyą. Co zaś do neutralizacyi, to ks. Bismark rozstrzygnął ją niedającemi się obalić słowami: można zneutralizować ten kraj, który chce być neutralnym, ale neutralizować taki, który neutralnym być nie chce, jest niedorzecznością.“

Zdaniu temu nie można odmówić słuszności. Z jakiejkolwiek tedy strony rozpatrzymy zalecany sojusz francusko-niemiecki, przedstawi się nam w obecnych warunkach zwyczajną mrzonką, nielicującą wcale z dalekim od wszelkiej sielankowości nastrojem czasu. Dodać przytem trzeba, że marzyciele wcale nie liczą się z tak ważnym w tej sprawie czynnikiem, jakim jest cesarz niemiecki, który święcie przechowuje tradycye i zdobycze swego dziada, który niedawno wypowiedział, że wprzódy armie jego polegną na placu boju, niż on ustąpi jeden kamień z tego, co zabrano (po niemiecku: odebrano), który kupuje sobie dobra w okolicach Metzu i raczej myśli o rozszerzeniu, niż zwężeniu granic państwa. Wywody więc, apostołujące myśl zwrotu lub zneutralizowania Alzacyi i Lotaryngii są — jak mówi przysłowie niemieckie — rachunkiem zrobionym bez gospodarza, który go niezawodnie przekreśli.

A jednakże trudno zaprzeczyć, że dopóki między Francyą a Niemcami nie nastąpi porozumienie, dopóty Europa nie będzie ani spokojną, ani bezpieczną, dopóty nie ustaną szalone i niszczące jej wysiłki w kierunku coraz nowych uzbrojeń, dopóty wreszcie najważniejsze zagadnienia polityczno-społeczne, ciążące zarówno na wszystkich narodach, nie mogą być rozstrzygnięte. Ale trzeba się z tem pogodzić. Gdy rozumom ludzkim zbraknie sił i pomysłów do rozwiązania węzła, należy go pozostawić przypadkowi, który nierozplątane zwoje rozetnie. Ten nieznany, choć od tak dawna oczekiwany przypadek dokona tego, czego spełnić nie zdołają ani mężowie stanu, ani tem mniej autorowie broszur politycznych.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rzeczpospolite południowo-amerykańskie jak gdyby czekały na letnią ciszę w Europie, ażeby głośniej rozbrzmiały ich wybuchy i starcia. Odrazu bowiem przybyła stamtąd wiązanka nowin, świadczących o zwulkanizowaniu się kilku państewek. Pamiętając o praktykowanym tam systemie kłamstw i odległości doniesień, która zwykle zabarwia je przesadą, trudno rzec,

które między sprzecznemi wierniej odbijają prawdę. Tak np. nie wiadomo, czy rewolucya, która wybuchła w Argentynie, skończyła się zwycięztwem rządu, czy też rokoszan. Naprzód telegraf twierdził, że prezydent Celman uciekł i że wybrano innego, później znowu — że stłumił powstanie i pozostał na swem stanowisku. Pewnem jest tylko to, że przyczyną buntu było obdłużenie kraju i jego ruina finansowa, skutkiem czego główny prąd nienawiści zwrócił się przeciw ministrowi skarbu.

Nie wiadomo również, jaki jest ostateczny rezultat wojny między Gwatemalą a Salvadorem, oraz czy prezydent ostatniego umarł nagle, czy też został zabity, a wreszcie czy przywódca ruchu, gen. Czeta, stanął na czele nowego rządu, czy poprzestał na władaniu siłami zbrojnemi kraju.

Daleko jaśniej przedstawiają się — nieliczne zresztą — wypadki w Europie. Po wybraniu Heinricha, niemca prawiącego swym rodakom gorzkie prawdy, członkiem rady szkolnej, a zwłaszcza po drażniących i coraz śmielszych wystąpieniach prasy młodoczeskiej, ugoda wiedeńska między niemcami a czechami ustąpiła miejsca zajadłej walce, której ani przebiegu, ani następstw przewidzieć niepodobna. Słabem zażegnaniem tego starcia jest rozkaz cesarski, polecający utworzenie wydziału teologicznego (czeskiego) na uniwersytecie praskim. Czesi — dziś już można używać ogólnego miana od czasu, jak starzy coraz bardziej roztapiają się w młodych — przyjęli ten dar z zadowoleniem, ale jednocześnie z zastrzeżeniem, że on ich apetytu nie zaspokoi na długo. Już teraz zaczynają mówić o zbagatelizowaniu niemców, o przyłączeniu Szlązka i Moraw do „korony św. Wacława,“ a co nastąpiłoby potem, gdyby nawet te życzenia się spełniły — kto odgadnie!

Widząc to nienasycone i ciągle wzrastające łaknienie, hr. Taaffe, a nawet cesarz rozmyślają podobno o daniu młodoczechom wymowej nauki zapomocą zmiany systemu rządowego i powrotu do szorstkiej względem nich ręki.

Kiedy już układ niemiecko-angielski został zatwierdzony przez Izby w Londynie, obie strony zaczynają wychwalać swoje nabytki: niemcy wyspę Helgoland i „sferę interesów“ swoich w Afryce, anglicy zaś Zanzibar i wybrzeża. Przechwałki te wyglądają tak, jak gdyby okpionego wcale nie było.

Cesarz niemiecki dnia 16 sierpnia przybywa do Rosyi: naprzód wyląduje w Rewlu, następnie uda się do Narwy i będzie obecny na manewrach pod Krasnem Siołem, skąd pojedzie do Peterhofu. Giełda powitała tę wiadomość znaczną zwyżką papierów ruskich.

Wielka kwestya 50 metrów ulicy włoskiej, po której miał przejechać papież, ucichła, a pisma watykańskie pozostały przy twierdzeniu, że Leon XIII nie wykroczył po za granice swego terytoryum, a na dowód każe miejsce, po którem toczył się jego powóz, zagrodzić. Niechże i tak będzie.

Austrya zamknęła w Tryeście stowarzyszenie włoskie *Pro patria* pod zarzutem dążeń i działań szkodliwych dla państwa. Naturalnie włosi są oburzeni i utrzymują, że stowarzyszenie to miało na celu jedynie uprawę języka włoskiego bez żadnych celów politycznych. Ponieważ rząd austryacki był tyle grzeczny, że zamknięcia dokonał w porze wakacyj parlamentarnych, więc p. Crispi nie jest narażony na interpelacyę.

Porta na żądanie Rosyi wstrzymała mianowanie biskupów bułgarskich w Macedonii, gdyż wytłomaczono jej, że tym sposobem uznawałaby rząd Koburga.

Była królowa serbska przesiedla się znowu do Rosyi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZJAZD HISTORYCZNY.

Lwów, 24 lipca.

Minęły już niepowrotnie czasy, kiedy całą wiedzę ludzką zdołał umysł jednego człowieka ogarnąć i zgłębić. Dziś z wspólnego pnia nauki wybiegły setki odrośli, w najrozmaitszych pnące się kierunkach. Analiza, panująca dziś wszechwładnie, rozłożyła każdą na składowe jej pierwiastki, wytworzyła cały szereg umiejętności pomocniczych, z których każda w sobie znowu rozwija się i rozrasta potężnie. Czyj duch jest dziś tak wszechmocny, ażeby zdołał, jak w soczewce wypukłej, skupić wszystkie promienie dzisiejszej wiedzy? Życie jednego człowieka, zda się, za krótkie, ażeby jeden odłam nauki ogarnąć. Badacze dzisiejsi pracują więc każdy w ciasnym, ściśle ograniczonym obrębie.

Rzecz jasna, że takie oddalenie się od wspólnego pnia nauki, takie rozstrzelenie sił w kierunku odśrodkowym zatraciłoby spójnię, jaka łączyć powinna wszystkie umiejętności. Chodzi więc o to, ażeby nie zrywać tej spójni, ażeby od czasu do czasu porozumieć się w pracy, zebrać wyniki poszczególnych badań i zakreślić program na przyszłość. Takimi łącznikami są właśnie zjazdy, mające dla nauki takie znaczenie, jak dla przemysłu wystawy krajowe lub światowe. W obrębie Galicyi odbyły się w ostatnim tygodniu aż trzy większe tego rodzaju zgromadzenia: lekarzy (w Krakowie), nauczycieli (w Bochni) i historyków (we Lwowie). Ten ostatni — trzeci z rzędu — zapowiadał się świetnie.

Jeżeli jubileusz Długosza (1880 r.) przyświecał pierwszemu zjazdowi, który rozwijając myśl wielkiego pisarza, zajął się głównie rozpatrzeniem źródeł dziejowych, a w następstwie przyczynił się do ich krytycznego wydania; jeżeli jubileusz Kochanowskiego (1884) oświecał swoim pogodnym blaskiem zebranie historyczno - literackie, badające te wszystkie czynniki cywilizacyjne i historyczne, które w poezyi wieszcza z Czarnolasu znalazły swój wyraz, a przynoszące naszemu piśmiennictwu prawdziwe korzyści; to niestety ten trzeci zjazd, którego gospodarze, nie mając nawet tyle pomysłowości czy odwagi, ażeby pod świeżem wrażeniem wielkiej uroczystości związać go z imieniem wielkiego poety, o mało że nie był chybiony...

Dwa poprzednie spełniły ważne zadanie. Był niem sumienny obrachunek sił, jakiemi w pracy historycznej rozporządzamy, dokładne zbadanie podstawy źródłowej, na której się ta praca opiera, wskazanie i jawne określenie jej myśli przewodnich. Zarysowało się tu po raz pierwszy wyraźnie to, co nazywamy dzisiejszą szkołą historyczną. Z tymi wynikami nie może się mierzyć zjazd obecny, na którym właściwie tylko odczytano kilkanaście rozpraw i to przeważnie małoznaczących treści.

Zwoływać ludzi po to, ażeby oświetlić kilkanaście przedmiotów, wziętych z rozległej dziedziny dziejopisarstwa, a niemających wewnętrznego związku — nie warto. Każde takie pytanie obrabia się o wiele lepiej, niż przez narady na licznem stosunkowo zebraniu. Przedmiotem zjazdów powinny być kwestye, niedające się załatwić na drodze piśmiennej, lecz wymagające osobistego zbliżenia się pracowników, celem zaś winno być porozumienie się co do wspólnych kierunków, dróg i zorganizowania pracy naukowej. Takich wytycznych punktów nie postawił sobie obecny zjazd historyków.

Po dziesięciu latach pracy historycznej

---

3)

KAROLKA.

Rano zaspałyśmy obie. Mnie zbudziła posługaczka, przyszedłszy dla nastawienia samowaru i sprzątnięcia pokojów.

Wstałam pierwsza. Przeze drzwi wołałam na Karolkę, aby się podniosła. Parę godzin, przespanych mocno nad ranem, pokrzepiły mię i napełniły dobrą nadzieją. Byłam jakaś rozweselona. Niepokój dni poprzednich minął. Wszystko, co było, wydało mi się tylko ciężką, duszącą, senną zmorą, która już przeszła. Powiedziałam sobie, że stosunek mój z Karolką musi wrócić do poprzedniej normy. Aby jej nie drażnić, miałam o wszystkiem pogadać ze Stanisławem. Byłam pewna jakiejś intrygi... Postanowiłam w duszy nie przyjmować nadal Majewskiego, wyrzucić go od progu drzwi w razie, gdyby jeszcze kiedykolwiek chciał się ze mną dzielić brudnemi swemi oszczerstwami... W sercu wzbierało mi gorące, rzewne uczucie dla Karolki, którą miałam ochotę uściskać w tej chwili...

Otworzyła wreszcie drzwi.

Nie poznałam jej: tak była zmieniona... Każdy rys jej twarzy wyciągnął się, przedłużył. Cera przybrała zielonkawą, nieledwie przezroczystą barwę. Wargi miała spieczone gorączką, czoło zapadnięte, oczy obwiedzione jasnym, żółtym krążkiem, którego dawniej nie dostrzegłam u niej nigdy. Zdawało mi się, że patrząc na mnie, nie widzi mnie: wzrok jej był bezmyślny, pełen osłupienia...

Zdjęła mię dziwna trwoga. Bałam się wziąć ją za rękę: zdawało mi się, że mam szkielet przed sobą...

— Tyś chora — rzekłam — połóż się do łóżka. Każę zawołać Stefki, niech posiedzi przy tobie, a ja zejdę na dół do sklepu.

— Nic mi nie jest — odparła, całując mię w rękę.

Usta jej były gorące, jak ogień. W dłoni, którą mię dotknęła, uczułam puls przyspieszony.

— Zejdę i ja na dół — dodała po chwili.

Ten i następny jeszcze dzień siedziała w sklepie. Wyglądała, jak cień, jak mara, z głową owiązaną chustką, blada, przezroczysta prawie. Do ostatniej chwili sprzedawała. Ledwie trzymała się na nogach, a jeszcze wypełniała każde zlecenie gości.

Gdy ją pytano, czy chora — odpowiadała: „nic mi nie jest — głowa mię trochę boli...“

Dopiero drugiego dnia, nad samym wieczorem, dostała strasznych kurczów.

— Mam ogień tu — szeptała, trzymając rękę to na piersiach, to pod piersiami...

— Musiało ją palić straszliwie, gdyż chwilami gryzła wargi z bólu. Stan gorączkowy wzmógł się: zaczęła bredzić nieprzytomnie...

Zwołałam ludzi i kazałam ją zanieść na górę. Zamknąwszy sklep, poszłam do mieszkania, aby posłać jej łóżko i ułożyć ją wygodnie.

Ludzie odeszli; zostałam przy niej sama. Ciemno było w pokoju. Nie zdążyłam zapalić światła, gdy ona zaczęła się krztusić.

Przybiegłam do niej, aby ją podnieść na poduszkach. Nie mogłam w żaden sposób dostrzedz jej twarzy; zdawało mi się jednak, że od ust jej w chwili, gdy oddycha, odrywają się drobne, świecące pyłki.

Ręce mi zadrżały.

— Co to jest? — spytałam sama siebie.

Ścisnęła mię konwulsyjnie: nie mogłam odbiedz od niej. Krztusiła się coraz bar-

nie stwierdził też postępu na polu dziejopisarstwa, nie wykazał zdobyczy pomnażających rzeczywisty dorobek naukowy, a cały aparat zabiegów i rozpraw nie wydał owych „złotych owoców,“ jakich się po nim spodziewano. To, co mówiono aż do znudzenia o potrzebie wydawnictwa źródeł dziejowych, wypowiedziano już lepiej i dokładniej poprzednio. Do „syntezy“ zaś dziejów — jak szumnie głoszono — nie wzniesiono się, nie rozszerzono nawet widnokręgu historycznego. Po epoce, która niesiona na falach poezyi romantycznej, widziała tylko jasne, promienne dziejów naszych strony, nastąpiła reakcya, patrząca na przeszłość przez czarne okulary. Po upojoniu nastąpił zwykły niesmak. Gorzkie jednak lekarstwo, podawane przez stańczyków, za silne dla samych lekarzy, dobiło historyków lwowskich, naśladujących niezgrabnie nietylko poglądy, ale nawet styl swych mistrzów krakowskich, którym na zjeździe obrzydliwie schlebiali...

Rozpoczęto obrady naukowe modlitwą. Ks. biskup odprawił w katedrze uroczyste nabożeństwo „na intencyę powodzenia zjazdu“ i udzielił zgromadzonym „kapłańskiego błogosławieństwa...“ Poczem podwoje sali ratuszowej otwarły się gościnnie dla przybyłych gości. W powitalnej przemowie jednak wyrwał się zastępca burmistrza z niedorzeczną pochwałą „pomnikowego dzieła“ Łozińskiego, które „złotemi głoskami zapisało imię jego“ chyba w pamięci p. Marchwickiego, a autor „Chrobacyi“ spotęgował to przykre wrażenie mową, w której „składał podziękowanie władzom duchownym i świeckim *za ich obecność..*“ Wychodząc ze stanowiska, że „należy na zjeździe historycznym witać *osobno* gości z Krakowa,“ tj. matadorów stańczykowskich, „poczuł pełną odwagę, gdy zobaczył hr. Cieszkowskiego, ozdobę imienia polskiego“ i „cieszył się niewymownie obecnością hr. Tarnowskiego,“ którego książkę o Kochanowskim „tak dawno upragnioną“ i uważaną przez mówcę za najrealniejszą korzyść drugiego zjazdu historyków, stawiał za „wzór do naśladowania.“

Na prezesów zgromadzenia wybrano samych hrabiów i stańczyków; zrobiono tylko wyjątek dla Korzona i Chmielowskiego, którzy weszli także do prezydyum. Gdy z kolei wszyscy dygnitarze dziękowali za zaszczyt wyboru, wystąpił p. Sokołowski, dopatrując w swym wyborze na drugiego wiceprezesa „hołd złożony przez zgromadzenie dla uczonych krakowskich“ i dla niego samego, jako „reprezentanta historyi sztuki,“ jak gdyby ta nauka poczynała się i kończyła na p. Sokołowskim. Poczem przyjęto regulamin, orzekający między innemi, że referent nie powinien przemawiać dłużej nad 15 minut, w ciągu których wyłoży swe myśli zasadnicze i wnioski, powołując się na referat drukowany, że oponent jego przemawiać może również nie dłużej nad 15 minut, a inni nie dłużej nad 10 minut, nikt zaś nie więcej, niż dwa razy.

Wszakże dla wykładu prof. Bobrzyńskiego zrobiono zaraz na samym początku wyjątek. Wykład ten bowiem trwał przeszło pół godziny, wchodził w szczegóły, nie stawiał żadnych wniosków i nie był wcale poddany pod dyskusyę, mimo że koniec jego najeżony był ostrzami polemicznemi. P. Bobrzyński mówił o historyi organizacyi społecznej w Polsce. Referat p. Tarnowskiego o charakterze naszej literatury politycznej w wieku XVII, niejako dalszy ciąg jego dwutomowej pracy o politykach polskich z XVI stulecia, był z tego względu chybiony, że zawierał szereg gotowych i apodyktycznych sądów, zamiast otwierać pole i wskazywać drogi do dalszych badań. Nadomiar Kubala i Korzon wskazali znaczne luki w tym wywodzie. Bołoz Antoniewicz w rozprawie o nieznanych utworach francuskich Z. Krasińskiego wykazał nieznajomość bieżącej literatury przyrodniczej, która za *Prawdą* podała do powszechnej wiadomości jeden z tych „nieznanych“ utworów (E'toile), przyczem silił się niepotrzebnie „podstępem i fintami sędziego śledczego dowieść faktu — dokonanego.“ W napuszystej improwizacyi kadził hrabiemu wywyższeniem Krasińskiego nad Mickiewicza. „Krasiński przewyższa go — zdaniem p. Antoniewicza — dojrzałością poglądów i głębszem zrozumieniem wymagań ustroju społecznego.“ W przeciwstawieniu obu poetów przyjmuje prelegent w poezyi Mickiewicza jakiś „symbol statyki narodowej,“ kiedy w Krasińskim ma wrzeć „siła dynamiczna.“ Dopatruje się nawet w obu „różnicy *ras*“!...

Wykład Demetrykiewicza o zasadniczej reformie „konserwatorstwa“ zabytków w Galicyi odkrył całą zgniliznę tego urzędu, a prelegent, sam c. k. konserwator, przyznał, że „wszelka czynność urzędowa konserwatora w tak jałowych“ warunkach jest tylko marnowaniem i zdolności, *nb.* jeżeli je posiada.

Nizki stopień i nieprodukcyjność pracy historyków naszych wykazał bezwiednie Finkel. „Stoimy — są słowa jego — pod względem zasobu wiadomości i przedstawienia rzeczy na stanowisku Roepella, chociaż pół wieku wytężonej pracy historycznej dobiega od skreślenia tej cennej książki. Dzieje Kazimierza Wielkiego, a więc jedną z najważniejszych epok, opowiadamy, przyznajmy, acz to nie przyjemne, wedle dzieła prof. Caro. Nie mówię wobec tego o dalszych czasach.“ Sama metoda badań historycznych, o której z taką dumą prawią młodzi historycy, jako o swej wielkiej zdobyczy naukowej, rozsypuje się w gruzy, gdy słyszymy takie np. zdanie: „Postępując metodą, której trzymamy się, jakie takie *objęcie całości usuwamy w daleką przyszłość; ze szkodą głównych rzeczy poznajemy* w jakimś niewielkim okresie czasu *drobnostki.*“ Mimo to stwierdził Łuszczkiewicz, „że *niema* na tem polu badań *spraw drobnych*, które lekceważyć można, bo *wszystkie są ważne.*“

W końcu przyznaje, że owe „wiekopomne“ dzieła historyków współczesnych nie mają prawie żadnego wpływu na społeczeństwo, gdyż „zainteresowanie się dziejami, znajomość historyi jest — mimo ożywionego ruchu między historykami — bardzo mała.“

Nawet w zakresie wydawnictwa źródeł, czem się tak chełpi Akademia krakowska, wykazał Kubala zadziwiające przeoczenie najważniejszych dokumentów (akta publiczne państwa), a „wydawanie drobnych, błahych i przydatnych tylko jakiejś jednostce materyałów,“ przyczem uczynił naszym historykom słuszny zarzut, że zadowalają się rolą bierną, zezwalając wspaniałomyślnie, aby cudzoziemcy nasze dzieje pisali, a oni zastanawiać się mogli potem, który z nich więcej lub mniej sprzyja narodowi!..

Wywody Kawczyńskiego, przeceniającego etymologię jako środek w badaniach historycznych, uległy zasłużenie ostrej krytyce. Dość będzie przytoczyć tłomaczenie podań jako opisanie imienia (Piast — żywić, piastować, Popiel — ten, który pali na popiół, Wanda — rzucająca się do wody itp.), aby powtórzyć o tej jego etymologii słowa Voltaire'a, że to „nauka, w której spółgłoski znaczą niewiele, a samogłoski nic zgoła...“

Większej doniosłości jest referat Liskego, poruszający myśl zakładania na prowincyi ognisk, czyli kółek, dla poznania historyi, sztuki, obyczajów, przyrody itp. danego miasta lub okolicy.

Z braku miejsca nie przechodzimy po kolei poszczególnych referatów, podniesiemy tylko ogólne ich charakterystyczne cechy. Pomijając niedopuszczone przez komitet z bardzo ciasnych pobudek odczyty Jeża i Waliszewskiego; pomijając odpadłe referaty w sprawie wydzielenia „osobnej nauki

---

dziej. Wreszcie, szarpnąwszy się całem ciałem, przechyliła głowę w bok.

Strumień krwi spłynął z ust jej, świecąc po ciemku żółtawo-niebieskawym blaskiem jak błędne ognie, które niegdyś widziałam w polu.

Strach mię zdjął okropny. Obejrzałam się po pokoju — nikogo nie było. Ona trzymała mię obiema rękami, nie chcąc puścić od siebie.

Włosy stanęły mi na głowie. Zdawało mi się, że nie przeżyję tej chwili.

Krew, połyskująca bladem światłem, spływała z ust jej i z nosa. Jęczała głośno; kazała ściskać głowę, mówiąc: „tak mię boli, tak mię boli...“

Po godzinie uspokoiła się trochę. Puls jej osłabł. Musiała dostać dreszczów, gdyż drżała jak w febrze. Powieki, ciężkie, zmęczone, opadły. Zdawało mi się, że zasypia. Na palcach odeszłam od niej, chcąc zbiedz na dół i posłać po doktora.

Przeczuła widocznie moje zamiary, gdyż, otworzywszy senne powieki, szeptem przywołała mię do siebie.

— Pani chce sprowadzić doktora? — zapytała.

Nic nie odpowiedziałam, bo nie mogłam mówić, bo tak, jak ona, trzęsłam się w febrze;

— Nie trzeba doktora — szeptała dalej — ja umrę; chciałam umrzeć i umrę — może zgrzeszyłam... nie wiem... Nigdy nie umiałam bronić siebie... Niech doktór nie przychodzi. Majewski nie będzie miał na kogo wygadywać — on kłamał przez zemstę na mnie... kłamał...

Szukała ręką mojej ręki. Chciała mię pocałować. Podniosła się cała na poduszkach, rzucając na mnie świecący swój oddech.

Krztuszenie opanowało ją napowrót. Błyszcząca krew zaczęła napowrót buchać z ust jej i z nosa. Oczy wykręciły się tak, że z pod powiek widniały tylko białka i żółtawe, świecące krążki tęczówek.

Otworzyłam okno i, ile tylko głosu starczyło mi w piersiach, krzyczałam na całą ulicę: „ratunku, ratunku!“

Ludzie się zbiegli, a ja, nieprzytomna, ciągle to krzyczałam: „ratunku!“ — to pokazując na nią, dodawałam: „patrzcie, otruła się...“

Odciągnięto mię od niej. Sąsiadka z tego samego domu, mieszkająca w sieni naprzeciwko mnie, zabrała mię do siebie, zamknęła na klucz, a sama wyszła.

Sprowadziwszy dwóch policyantów, kazała Karolkę odwieźć do szpitala.

Umarła tam na drugi dzień rano. Nie widziałam jej już potem. Wolałam zatrzymać w pamięci twarz jej taką, jaką miała za życia.

Gdy mię wypuszczono z mieszkania sąsiadki, zeszłam na dół, do sklepu, bo i cóż miałam robić?

Pogrzebem zajął się Majewski ze Stanisławem. Ja sama, bezczynnie, nie mogłam wysiedzieć na górze.

Przez parę dni ludzie oblegali sklep. Co chwila ktoś wpadał, pytając:

— Co się stało? dlaczego ona się otruła?

Nie odpowiadałam. Cóż mogłam odpowiedzieć?

Aż przestali się pytać. Poszli wszyscy na pogrzeb. Dużo ich było. W pierwszym rzędzie szedł Majewski, niosąc wstążkę od wieńca, na który się złożyli przyjaciele nieboszczki, on sam zaś — dał najwięcej.

— A Stanisław? — zapytała pani Z., po raz pierwszy przerywając opowiadanie.

— Stanisław szedł obok Majewskiego, niosąc drugi koniec wstążki...

* *

— W tydzień po pogrzebie — opowiadała dalej Fuchsowa — weszłam pierwszy raz do pokoju Karolki, aby go uporządko-

starożytności polskich“ (!) w sprawie „nieprzerwalności odwiecznej uprawy sztuki w Polsce“ (!), których ogłoszeniem w „Pamiętniku drugiego zjazdu historyków“ (Lwów, 1890) wystawił sobie komitet zjazdu świadectwo ubóstwa, uderzają nas same nadzwyczaj drobiazgowe rzeczy, odpowiednie może do monograficznego opracowania, lecz niestanowiące żadnych „kwestyj,“ ani nienadające się do „dyskusyj“ na zjeździe. Przeważną większość stanowią referaty krakowskie, jest ich aż dwanaście, kiedy z Poznania był tylko jeden a z zagranicy nie było żadnego! Pominięto w nich zupełnie czasy rozbiorowe, nie dotknięto stosunków ekonomicznych, nie uwzględniono geografii, statystyki, etnologii, nauk popychających na nowe tory badania dziejów; natomiast rozwielmożniły się „desyderata“ wydawnicze, paleografia, numizmatyka i tym podobne „starożytności,“ których duszą c. k. namiestnika, zaszczycającego zjazd swoją obecnością — na galeryi, wielce radowała.

Sytuacyę zjazdu ratował jasny, śmiały wykład Korzona, wskazujący palcem na główne grzechy historyków szkoły krakowskiej. Rozbudził on powszechne zjęcie i był jedynym dodatnim momentem obrad, dlatego pozwolę przytoczyć sobie jego zasadnicze myśli.

P. Korzon wykazał najsprzeczniejsze sądy naszych historyków, wykluczające się nawzajem kłamstwa, popełniane w imię prawdy dziejowej z poniżeniem wielkich dziejopisów dawniejszych (np. Lelewela), wytykał niesprawiedliwości w potępianiu wzniosłych czynów przeszłości, w oskarżaniu ojców za winy niepopełnione, wyrzucał politykomanię tym, którzy nie przypatrzywszy się zblizka żadnemu aparatowi państwowemu, sądzili królów, kanclerzy, hetmanów, sejmy i całe instytucye państwowe. Historycy szkoły krakowskiej, postawiwszy godło „nietykalności władzy i jej przedstawicieli, skądkolwiek oni przyszli i jakkolwiek im na imię,“ potępiają każdy rokosz, każdy zamach stanu, stosując skaleczony frazes Cycerona: „historya jest mistrzynią życia,“ do chwili bieżącej i na jej szkodę. Zamiast określenia cech wieku, oraz ujmowania materyału dziejowego w karby praw, panowie ci wysuwają żarliwość swoją dla wyznania katolickiego i uległość względem dynastyi lub tym podobne sprawy osobiste, nie przyczyniając się w niczem do podniesienia historyi na stopień nauki. „Warcholstw“ tych nie mogąc odeprzeć, starano się załagodzić przy kieliszku na rautach, ucztach, wieczorkach itp. szopkach, podczas których nakazywano nam nietylko przybierać strój i minę „uroczystą,“ ale dopominano się nawet po gazetach o „serdeczne podziękowanie“ dla tych, którzy „funkcye gospodarzy pełnili z całem poświęceniem...“

Mniej blagi, a więcej skromności objawił zjazd lekarzy, obradujący w Krakowie niemal spółcześnie ze zjazdem nauczycieli ludowych w Bochni, lecz sprawozdanie o nich odkładam na później.

Beta.

BADANIA NAUKOWE.

PSYCHOGENEZA.

I.

Dwa są główne źródła błędów, którymi myślenie ludzkie zaznacza dziejowy swój pochód. Pierwszem z nich jest uosabianie oderwań i uogólnień rozumowych, branie za byty rzeczywiste, za samoistne pierwiastki tego, co jest prostem odróżnieniem logicznem, wypadkiem analitycznego myślenia; drugiem — przeciwstawienie danym doświadczalnym pojęć i zapatrywań, uświęconych powagą czasu lub imienia i opieranie na nich swych sądów i wniosków o rzeczach i ich stosunkach, bez względu na to, czy te pojęcia i zapatrywania zgadzają się z rzeczywistością, czy też są jej wręcz przeciwne. Jeżeli błędy pierwszego rodzaju wytwarzają nową mitologię, którą możnaby nazwać metafizyczną, albo właściwiej metempiryczną, a w której siły przyrody i jej prawa, własności rzeczy, zjawiska życiowe i duchowe czynności występują jako samodzielne czynniki, jako byty, niedostępne wprawdzie zmysłowemu postrzegeniu, ale niemniej konieczne dla rozumu; to błędy drugiej kategoryi dają początek owej logice czysto słownej, w której sądy i wnioski układają się nie na podstawie danych doświadczalnych, rzeczywistych własności rzeczy i ich stosunków, ale na zwykłem znaczeniu wyrazów, na ustalonem skojarzeniu wyobrażeń, albo na sztucznych określeniach, dopasowanych do pewnych na wszechświat poglądów. W ten sposób rozum ludzki mimo woli i wiedzy podąża w prostej drodze do mistycyzmu i dogmatyzmu — dwu kierunków myślenia, które są zaprzeczeniem rozumu, gdyż robią zeń niewolnika uczuć i każą mu ogłaszać za prawdę to, co jest widziadłem rozbujałej wyobraźni, wikłają go w czcze subtelności i zmuszają do wymyślania coraz to nowych zagadnień, niemających najmniejszego związku ze światem zjawisk konkretnych.

Charakterystyczną próbkę tego rodzaju błędów dostarcza nam rozprawa p. J. Wł. Dawida, zamieszczona na czele jego „Szkiców psychologicznych“ pod nagłówkiem: *Psychogeneza.*

Rozprawa ta, napisana z powodu dzieła dr. Szokalskiego: *Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie*, zaznacza stanowisko autora wobec współczesnych kierunków filozoficznych, a szczególniej wobec monizmu niemieckiego, którego wyznawcą jest właśnie dr. Szokalski.

O ile można wnosić z innych prac autora, jest on kantystą, odsuwającym wszelkie zagadnienia, dotyczące rzeczy samej w sobie po za granice poznania ludzkiego, dla którego dostępnemi są tylko zjawiska. Z tem wszystkiem nie trudno spostrzedz, że zajęte przezeń stanowisko filozoficzne niezupełnie odpowiada jego temperamentowi. Niecierpliwi się on na niem i bardzo często mu się przeniewierza. Jakkolwiek uznaje, że gęsty i nieprzebity obłok zakrywa przed nami świat transcendentalny, nie może stłumić w sobie niewyraźnej nadziei, że przecież z po za niego może czasami przedostać się do nas jakiś promyczek światła, dający nam poznać choć w części tajemniczą stronę bytu. Ulegając mimo woli i wiedzy owej nadziei, podlega częstym złudzeniom — i to, co jest enhoptycznem zjawiskiem jego oka, bierze za objawy rzeczywiste, za błyski, pochodzące ze świata nadziemskiego. Spirytyzm, hypnotyzm zajmują go nie tyle samymi faktami, których dokładne zbadanie może znacznie rozszerzyć zakres naszej wiedzy pozytywnej, ile tem, że zdają się zostawać w bezpośrednim związku ze światem transcendentalnym i składając dowody jego istnienia, odchylają rąbek zasłony, zakrywający go przed naszem okiem. To też z pośpiechem, godnym lepszej sprawy, tłomaczy naukę Gibiera o spirytyzmie — i zapowiada na podstawie kilku odosobnionych faktów, wymagających jeszcze, jeżeli nie sprawdzenia, to przynajmniej bliższego poznania, że hipnotyzm dokonać musi stanowczego przewrotu w dotychczasowych metodach wychowania i leczenia, dostarczając w poddawaniu (suggestion) najskuteczniejszego środka pedagogom — do tłumienia w dzieciach skłonności złych i wytwarzania natomiast do-

---

wać. Uderzyły mię skorupy szklanki, rzucone pod łóżko tak głęboko, że posługaczka jeszcze dotąd ich nie wymiotła. Do ścianek skorup przywarły resztki wyschłego, szarawo-zielonkawego płynu.

Otworzyłam szufladę nocnej szafki: pełno w niej było ogonków zapałek z poobłamywanymi łebkami.

Szukałam listu, kartki jakiej: nic nie znalazłam, prócz fotografii Stanisława z napisem: „Żegnam cię, mój drogi!“ — z datą poniedziałkową.

Dwa dni nosiła truciznę w sobie; dwa dni walczyła ze śmiercią: życie nie chciało z niej ulecieć...

Oddałam fotografię Stanisławowi. Całował mię po rękach i płakał jak dziecko...

Opowiedział mi, iż od dwóch lat Majewski napastował Karolkę tysiącznemi propozycyami. Obiecywał jej złote góry, aby tylko zgodziła się żyć z nim na wiarę.

Nie chciała go słuchać, wyrzucała za drzwi, groziła, że wszystko opowie Antoniewiczom.

Nic nie pomagało: przychodził do niej ciągle. Przy Antoniewiczowej głupstw nie gadał, świdrował tylko Karolkę oczami. Gdy Antoniewiczowa była zajęta, albo wyszła na chwilę — on zawsze wracał do swego.

Wreszcie kiedyś, nie mogąc dać sobie z nim rady, poprosiła Antoniewiczowej, aby mu nie pozwoliła przychodzić, gdyż przeszkadza jej w robocie.

Na drugi dzień rano przysłał list, w którym groził, że pozbawi ją chleba, opowiedziawszy ludziom, co ona za jedna, jakich miała rodziców, czem jej bracia, czem ona sama może zostać ze złodziejską i pijacką krwią w żyłach...

„Wrócisz ty jeszcze kiedyś na moje podwórko — pisał — nie chcesz dobrowolnie, zmuszę cię do tego; zmuszę cię, żebyś, jak pies, leżała u moich nóg i łasiła mi się, abym cię wziął do siebie. Wówczas może już nie będę miał ochoty na ciebie — zostaniesz na bruku.“

Z płaczem oddała mu ten list, błagając, by ją ratował.

Radził jej, aby opowiedziała wszystko Antoniewiczowej: nie chciała jednak; wstyd jej było o tem mówić. Wzięła od niego słowo, że i on brudów tych rozmazywać nie będzie...

I jakże miał ją ratować?

Chciał przedewszystkiem odejść od Majewskiego. Gdy mu to oznajmił, ten o mało nie wpadł w apopleksyę. Stanął nad nim, zaczął mu wygrażać pięściami, pienił się ze złości i syknął przez zęby:

— Ja ci tu dam!.. odejść!.. odejść!.. tak zaraz... dla romansu... odejść!..

Byłby się rzucił na niego, gdyby go starszy subjekt nie powstrzymał.

Tego dnia zaraz napisał mu świadectwo, że jest złodziejem, że wydala go z powodu kradzieży, na której niejednokrotnie został przyłapany.

Co miał robić? Gdzie byłby dostał miejsce wobec tego?

Postanowił siedzieć spokojnie i tylko o tem myślał, żeby jaknajprędzej mógł coś zarobić, niewiele, chociaż ze sto rubli...

— Takem zebrał—powiedział do mnie—na wianek i trumnę dla niej.

Rozpłakał się i wyszedł, obiecując przyjść znowu kiedy.

Widuję go od czasu do czasu: jest nadal u Majewskiego, bo i cóż ma robić?..

Cecylia Walewska.

brych; lekarzom — do usuwania z organizmu pacyenta najuporczywszych chorób.

Mimo wszystkich tych zarzutów, jakie można autorowi zrobić ze stanowiska filozofii Kanta, pozostaje on jej w zasadniczej swej dążności wiernym. Jedyny pod tym względem wyjątek stanowi wymieniona powyżej rozprawa: *Psychogeneza*, w której występuje nie jako wyznawca krytycyzmu Kantowskiego, ale jako zwolennik racyonalnego dogmatyzmu, przyjmujący Spinozowski pogląd na świat i posługujący się czysto syntetyczną metodą dowodzenia.

Dowodzi on w niej, że między duszą a ciałem niema żadnego związku przyczynowego, że będąc ze sobą skojarzone ze sobą, rozwijają się równolegle tak, że każdemu zjawisku fizycznemu towarzyszy zawsze odpowiednie zjawisko duchowe (?) i odwrotnie; pozostają one przecież obcemi sobie i nie oddziaływają na siebie wcale. Za punkt wyjścia dla swych rozumowań przyjmuje on Kartezyuszowskie określenie materyi, jako rzeczy rozciągłej, i ducha — nierozciągłej, chociaż w przebiegu swych rozumowań odstępuje od zapatrywań Kartezyusza i przechodzi na stanowisko Spinozy. Materya, jako rozciągła, sprowadza się ostatecznie do ruchu fizycznego, którego prawem jest zachowanie energii; dusza, będąc nierozciągłą, nie daje się sprowadzić do ruchu, powyższe więc prawo do niej nie może być stosowane. Przypuszczając, że ruch cząsteczkowy zamienia się na świadomość, a świadomość odwrotnie, na ruch fizyczny, znaczyłoby sądzić, że rzecz rozciągła może się stać nierozciągłą, a nierozciągła — rozciągłą; innemi słowy: że pewna ilość energii może ginąć i powstawać z niczego. Przypuszczenie to, sprzeczne z prawem zachowania energii, będącem w obecnej chwili podstawą naukową wszelkich naszych badań, musi być odrzucone jako niedorzeczne. Na tem jednak nie koniec. Gdyby nawet zdołano wykazać, że podkładem świadomości są zjawiska fizyczne i wykryto ich równoważnik mechaniczny — świadomość, jako fakt, nic wspólnego niemający z ruchem molekularnym, byłaby jakąś resztą niewytłomaczoną, jakąś nadwyżką w szeregu przeobrażeń energii fizycznej.

Gdyby nie to, że autor solidaryzuje się z monizmem niemieckim, jakkolwiek nie bez pewnych zastrzeżeń, możnaby go wziąć, na podstawie powyższych wywodów, za wyznawcę Kartezyuszowskiego dualizmu. Uznawany przez Kartezyusza wzajemny wpływ ciała i duszy, autor odrzuca stanowczo, zajmując pod tym względem stanowisko Spinozy, który, chociaż przyjmował jedną tylko substancyę, upatrywał w niej jednakże dwoistość natury. Atrybuty bowiem tej substancyi — rozciągłość i myślenie, rodzajowo różne i niezwiązane z sobą przyczynowo, nie są niczem innem, jak dwoma samoistnymi pierwiastkami, nie wiadomo, w jaki sposób z sobą połączonymi; sama bowiem substancya w oderwaniu od nich nie jest czemś więcej, jak czczem i głuchem istnieniem, abstrakcyą, która nie może być przyczyną ich połączenia. Lecz i ze Spinozą nie we wszystkiem nasz autor się zgadza. Podług Spinozy, w świecie zjawisk fizycznych i duchowych panuje ścisły determinizm, to znaczy, że prawo zachowania energii ma swe zastosowanie nietylko w sferze materyi, ale i ducha; kiedy tymczasem p. Dawid przyznaje panowanie temu prawu tylko w zakresie zjawisk fizycznych, a zatem uważa duszę za coś, co może wytwarzać nieograniczony zasób jakiejś energii, która w zestawieniu z energią ruchu, jak utrzymuje autor, jest niczem.

Bądź co bądź, w swej rozprawie — *Psychogeneza*, przeniewierza się autor stanowisku Kanta i popełnia naraz dwa błędy, zaznaczone we wstępie do niniejszego artykułu. Jeżeli bowiem z jednej strony swem określeniem materyi i ducha sięga po za granice poznania ludzkiego, to z drugiej hipostazyuje pojęcia oderwane i faktom doświadczalnym przeciwstawia dowody *a priori*, wysnute z założeń dowolnych, pozbawionych wszelkiej podstawy.

W wieku siedemnastym, a nawet w początkach bieżącego, kiedy panował przeważnie dogmatyzm racyonalny i kiedy pilnie odróżniano pierwsze własności materyi od wtórnych, przyznając tamtym znaczenie przedmiotowe, tym — podmiotowe, można było poprzestawać na Kartezyuszowskiem określeniu materyi i ducha, można było upatrywać w rozciągłości własność materyi rzeczywistą, w niej samej tkwiącą, stanowiącą jej istotę i pod tym względem dokładnie ją odróżniającą od ducha, który jest nierozciągłym. W dzisiejszych atoli czasach, kiedy ścisłe badania naukowe wykazały, że rozciągłość tak samo, jak i inne własności ciał, ma znaczenie czysto podmiotowe, nie jest niczem innem, jak wyobrażeniem, bardziej tylko złożonem; przyjmować określenie Kartezyuszowskie za dobrą monetę i na niem opierać swe rozumowania, jest to nie uznawać postępu wiedzy i cofać się na stanowisko, które co najmniej jest anachronizmem. Możnaby to wybaczyć jakiemuś spirytualiście ze szkoły Cousina, ale nie wyznawcy Kantowskiego krytycyzmu, który w zasadzie będąc agnostycyzmem, bada tylko zjawiska, a powstrzymuje się od wszelkich wniosków, dotyczących rzeczy samej w sobie. Ze stanowiska Kanta, a pod tym względem zgodne jest ono ze ścisłemi badaniami naukowemi — materya i duch są jedynie pojęciami oderwanemi, oznaczającemi dwie różne grupy zjawisk, z których jedne znamy za pomocą postrzegania umysłowego, drugie — za pomocą postrzegania wewnętrznego. Ponieważ podług Kanta formą postrzegania zmysłowego jest przestrzeń, wewnętrznego zaś — czas; przeto możnaby co najwięcej powiedzieć, że materyę pojmujemy jako coś, co się objawia w przestrzeni, ducha zaś, jako coś, co się objawia w czasie. Określenie to byłoby przynajmniej zgodne z duchem filozofii Kanta, jakkolwiek niewolne od jednostronności.

(D. n.).

Władysław Kozłowski.

TEORYA PRZESTĘPSTWA POLITYCZNEGO
(LOMBROSO I LASCHI).

III. Reforma prawodawstwa karno-politycznego.

Obecnie rozejrzymy się wśród żądań reformacyjnych, jakie wysnuwają Lombroso i Laschi na podstawie nagromadzonego przez siebie materyału antropologicznego, tem samem opuszczając zupełnie zdawkowo opracowaną ewolucyę prawa politycznokarnego u różnych ludów. Zauważymy tylko, że autor — część tę bowiem obrobił jedynie Laschi — wychodzi z założenia, jakoby pierwszą formą społecznego pożycia i społecznej powagi była rodzina patryarchalna, w której każde targnięcie się na ojca-patryarchę uchodziło za występek. Z całego tego przeglądu ewolucyjnego zanotujemy tylko jedno, mianowicie, że zawsze zbrodnia polityczna była surowo karana. Nasi autorzy usiłują to postępowanie uzasadnić raz na zawsze za pomocą swojego mizoneizmu. Przestępstwo polityczne w ich rozumieniu jest to zamach na organizacyę polityczną, społeczną i ekonomiczną, położoną i szanowaną przez większość narodu, jest to targnięcie się na równowagę fizyologiczną u współrodaków. Jeżeli ktoś występuje w sposób pokojowy a powolny, nie wywołując silnego odporu ze strony mizoneizmu i swojem działaniem wytwarza pod osłoną dawnego nowy porządek rzeczy, zachowanie takie jest zupełnie uprawnione, chociażby z tego powodu że niema przeciwko sobie zbyt mocnej reakcyi fizyologicznej u większości narodu. Inaczej wszakże rzecz się ma z drganiami gwałtownemi. Jeśli już usunąć zamach na równowagę fizyologiczną u ogółu, to jeszcze wszelkie targnięcie się na osobę publiczną, właśnie z powodu publicznego jej charakteru, jest przestępstwem daleko większem, niż na jednostkę prywatną, gdyż w ostatnim przypadku winowajca obraża wyraz ogólno-społecznej woli. Zresztą prawodawstwo polityczne winno mieć na celu nie karę zbrodniarza, lecz zabezpieczenie ogółu społecznego przeciwko dalszej możliwości zamachów z jego strony i obronę fizyologicznego mizoneizmu większości przeciwko czynom osobników wyjątkowych. Lecz aby takie bezpieczeństwo zostało rzeczywiście osiągnięte, należy porzucić stanowisko dotychczasowe: z jednej strony wymierzanie „kary“ nie według natury zbrodniarza, lecz według dokonanego czynu, z drugiej stosowania tej samej „sprawiedliwości“ we wszystkich warunkach i wypadkach. Zacznijmy od tego ostatniego punktu. Jak wiadomo, rozruchy są bardzo częste i jednocześnie bezpłodne na południu, tymczasem w krajach północnych bywają długie, uparte i silnie wstrząsają organizmem społecznym. Czy prawodawstwo karno-polityczne winno jednako brzmieć w obu przypadkach? Nasi autorzy odpowiadają przecząco. Ręka sprawiedliwości ich zdaniem winna w pierwszym razie działać szybko, lecz sama kara (np. deportacya) być krótkotrwałą, odpowiednio do temperamentu ludności, na północy zaś trwać długo. Już z tych względów prawodawstwo powinno zmieniać swą fizyognomię w różnych okolicach nawet tego samego kraju, np. na wsi i w mieście, na dolinach i w górach. Powtóre, winno ono być różne, w odmiennych krajach, stosownie do zapatrywań i poglądów większości społecznej. Zniewaga, uczyniona obrazowi Matki Boskiej we Włoszech, powinna pociągnąć mniejszą karę, niż ten sam postępek w Abisynii, gdzie wymagałby może publicznej śmierci. Przedewszystkiem jednak prawodawca musi zwrócić uwagę na naturę przestępcy. Wiadomo, że wśród winowajców politycznych znajdują się najrozmaitsze postacie i „kara“ za ten sam czyn winna być ustosunkowana odpowiednio do charakteru przestępcy. Zbrodniarz urodzony, ze swymi kryminalistycznymi popędami, odkąd przywdzieje na siebie szatę opozycyonisty politycznego, staje się podwójnie niebezpiecznym i wymaga odpowiednio surowego postępowania, chociażby dokonany postępek był nawet drobnym i nieznacznym. Wszelkie stowarzyszenie winno znaleźć się po za prawem z chwilą wejścia do niego odpowiednich żywiołów; podobnie wolność prasy winna ustać, kiedy ta ostatnia zacznie zdradzać charakter zbrodniczy. Tak samo niebezpieczni są ci maniacy-polityczni, którzy dzięki swej chorobliwej pobudliwości i pozornej genialności zbierają liczną drużynę zwolenników. Ochrona społeczna wymaga wydzielenia ich z pożycia społecznego jeszcze przed wkroczeniem na drogę poważniejszego czynu — już wtedy, kiedy zaczną miotać stosowne pogróżki. Podobnemu odosobnieniu należy poddać epileptyków, alkoholików, obłąkańców prześladowania — tych możliwych przodowników każdego poważniejszego ruchu, jeśli ten ostatni dojdzie kiedyś do skutku. Mattoidzi są już daleko mniej niebezpieczni, gdyż nie bywają ani bezwzględnie opętani przez jakąś jedną ideę, ani też nie utracili zupełnie zmysłu moralnego.

Jeśli usunąć obłąkańców, zbrodniarzy urodzonych i inne podobne typy psychiatryczne, względem których Lombroso i Laschi wymagają już zamknięcia na całe życie w szpitalu, to znowu, o ile można sądzić z podręcznika całej włoskiej szkoły prawa antropologiczno-kryminalnego, kary śmierci,

jako najodpowiedniejszego sposobu zabezpieczenia dla społeczeństwa, środki karne, żądane dla zdrowych psychicznie i moralnie przestępców politycznych, są tak łagodne, iż wątpimy, aby gdziekolwiek dzisiaj weszły w życie. Zresztą większe znaczenie w zapewnieniu spokoju społeczeństwu przypisują autorzy swoim środkom zapobiegawczym. Właśnie w nich widzą oni „inżenieryę socyologiczną,“ czyli prościej mówiąc — naukową sztukę rządzenia. Przedewszystkiem usiłują stłumić wszelką możliwość rokoszów. Stosownie do swojej statystyki ducha antimizoneistycznego we Francyi żądają np. przecięcia departamentów górskich siecią dróg, zbudowania w odpowiednich miejscach cytadel itd. Następnie proponują usunięcie możliwych powodów wybuchu za pomocą odpowiednich reform społecznych. Mamy tutaj istotny groch z kapustą, że użyjemy swojskiego przysłowia. Co tylko gdziekolwiek powiedziano niezbyt krańcowego i gwałtownego z jednej, i niezbyt „mizoneistycznego“ z drugiej strony, wszystko to pomieszczono w środkach zapobiegawczych. Jeżeli zatrzymamy się nad owymi środkami w zakresie spraw ekonomicznych, znajdziemy tutaj i Leroy Beaulieu i Schultze-Delitscha, ubezpieczenie państwowe z dobroczynnością publiczną, zbiorowe kuchnie wiejskie i magazyny gminne, kooperacye i nawet sielanki komunistyczne w rodzaju amerykańskiej Oneidy, lecz skrupulatnie usunięto natomiast wszelką samodzielną partyę najmicką, o ile występuje w imię interesu klasowego. Zresztą poglądy Spencera, rozproszone w dziełach jego, są najwyższym wzorem, według którego *Przestępstwo polityczne* kopiuje swoje środki zapobiegawcze. Zwłaszcza szczodrze występują autorzy z różnymi planami w zakresie dzisiejszej ustawy konstytucyjnej. Są oni z Spencerem wrogami tegoczesnego parlamentaryzmu, tej ględzarni adwokackiej, rozprawiającej o wszystkiem i rozstrzygającej wszystko bez najmniejszego przygotowania specyalnego. Dzisiejsze Izby, to dyktatury adwokatów nad innemi warstwami i noszące na sobie wszystkie piętna właściwe „sofistom XIX wieku,“ z rzemiosła broniącym dzisiaj to, na co jutro będą napadali. Dla usunięcia dyktatury adwokackiej stawiają oni szczególną organizacyę „kolegialną.“ Okręgi wyborcze winny być miejskie i wiejskie, wśród pierwszych należałoby odróżnić średnie i wielkie miasta. W wielkich np. istnieją kolegia właścicieli nieruchomości miejskich, literatów, uczonych, prawników, przemysłowców, robotników, doktorów, duchownych itd. Każde kolegium wybiera pewną ilość deputatów, odpowiednio do liczebności swego zawodu, który następnie głosują już za przedstawicielem do Izby. Głosowanie powszechne w oczach autorów jest też złem, którego nie mogąc usunąć, życzą sobie osłabić przez wytworzenie, na wzór Chin, szczególnej arystokracyi naukowej, gdyż „tylko ona może zapewnić przewagę mieszczaństwa nad pospólstwem.“ Mianowicie wszystkie siły umysłowe kraju: pisarze, dziennikarze, przemysłowcy, urzędnicy, robotnicy, którzy uczynili jakieś odkrycie, powinny posiadać każda odpowiednio znaczną liczbę głosów. Zasługa zatem, rozporządzając w ten sposób wielkim wpływem, zdołałaby trzymać w szachu liczebniejsze tłumy proletaryackie, wśród których każda jednostka posiadałaby tylko jeden głos. Do tego dołączają szczególne ukształtowanie wyborów, pośrednich dla warstw niższych, bezpośrednich dla wyższych, ku czemu właśnie winny posłużyć owe organizacye kolegialne, przypominające nieco kurye austryackie. Komisye parlamentarne, rozpatrujące poszczególne kwestye bez najmniejszego ku temu przygotowania, winny ustąpić miejsca wychodzącym z wyboru społecznego radom technicznym, stale istniejącym przy parlamencie z głosem stanowczym i odpowiedzialnością. Podobnie ministrowie mają być specyalistami w swoim zawodzie, niezależnymi od zapasów partyjnych. Wiek, w którym można wystąpić jako kandydat do Izby, należy zniżyć dla umożliwienia wejścia żywiołom antimizoneistycznym, lecz liczbę deputowanych należy zmniejszyć i w ten sposób skrócić nadmierne gadulstwo. Członkowie Izby odpowiadają za swoje uczynki przed zwykłym sądem kryminalnym. Lud ma prawo inicyatywy i referendum; głosowanie zaś jest „ustosunkowane,“ tak, iż mniejszość nie jęczy pod uciskiem większości. Wreszcie autorowie żądają szczególnej instytucyi—adwokatury uciemiężonych, przypominającej nieco dawny starorzymski trybunał ludowy.

W naszem przedstawieniu poglądów Lombrosa i Laschi usiłowaliśmy zająć stanowisko możliwie przedmiotowe i tylko wyjątkowo dorzuciliśmy jakieś swoje słowo, i w tym nawet razie wskazując jedynie pobieżność lub powierzchowność faktów i wywodów. Charakter pracy jest mocno klasowy. Koloryt ten został starty w naszem przedstawieniu z tego powodu, że mogliśmy tylko uwzględnić zasadnicze punkty i musieliśmy usunąć drobniejsze wycieczki. Lecz pozostał on tu i owdzie; dość np. przypomnieć chociażby uprzedzenie przeciw głosowaniu powszechnemu i szukanie środków utrzymania przewagi politycznej mieszczaństwa lub raczej inteligencyi mieszczańskiej. Wogóle, jak w *Zbrodniarzu urodzonym*, podobnie i tutaj panuje dziwne nieuwzględnianie czynników społecznych i częste ich niepojmowanie, a raczej pojmowanie z ciasnego, mieszczańskiego lub drobnomieszczańskiego stanowiska. Naturalnie zniża to wartość wywodów, lecz znosi ich znaczenie w pewnym zakresie. Zdanie swoje względem danych *Antropologii zbrodniczej* wypowiadaliśmy już kilkakrotnie; podobnie sądzimy, że i *Przestępstwo polityczne* otwiera zupełnie nowe a płodne widnokręgi dla badań antropologicznych.

Lud. Krz.

SOCYOLOGIA PSYCHOLOGICZNA.

I.

Od niejakiego czasu, zwłaszcza we Francyi, jest uprawianą ze szczególnem zamiłowaniem socyologia, że tak się wyrażę, psychologiczna. Nietrudno zauważyć, że poszukiwania nad hypnotyzmem wywarły silny wpływ w tym kierunku; szkoła jednak ta, jeśli można ją nazwać szkołą, nie wydała dotychczas nic wybitniejszego. Kilka raczej parodoksalnych, niż naukowych poglądów, wiązanka artykułów, rozproszonych po czasopismach specyalnych, dużo hałasu lecz mało skutku — oto rezultat ostateczny. Najoryginalniejszą głową był tutaj bezwarunkowo zmarły przedwcześnie Guyau; najsystematyczniejszym, jeśli odsunąć Fouillée'go, który stoi nieco opodal od tego całego niespójnego zresztą odłamu, okazał się Tarde. Nazwisko to, znane każdemu z czytelników francuskiego *Przeglądu filozoficznego*, wpłynęło na wierzch zaledwie przed laty kilku, z powodu ukazania się rozprawy *Zbrodnictwo w oświetleniu porównawczem*, będącej dotychczas jedną z poważniejszych prac krytycznych, rozbierających zdobycze antropologii kryminalnej. Teraz mamy przed sobą nową pracę jego p. t. *Prawa naśladownictwa* *), które tem bardziej zasługuje na uwagę, że po dzień dzisiejszy jest pierwszą próbą systematyczną ujęcia socyologii psychologicznej w jakąś zwartą całość i usunięcia z niej doryweczości publicystycznej.

Napozór zupełny bezład panuje w zjawiskach społecznych i z powątpiewaniem można spoglądać na wszelkie próby wyszukania tutaj jakiegoś porządku, który pozwoliłby na ustanowienie praw rozwoju społecznego. Wprawdzie jest to dziedzina, w której ostatecznie sprężyny zjawisk, pożądanie i wierzenie, są nam doskonale znane ze swej istoty, nie tak, jak w świecie chociażby fizycznym, gdzie zaspakajać się musimy czczemi nazwami: siła ciążenia itd. Lecz ta okoliczność jest obojętną, gdyż wiedza tylko wtedy jest możliwą, jeśli odpowiednie zjawiska przedstawiają nie powiązanie wciąż odmiennych czynów, ale nagromadzenie aktów podobnych, słowem jeśli mamy do czynienia z powtórzeniami. Otóż przy bliższem wejrzeniu okazuje się, że dziedzina społeczna czyni zadość temu warunkowi. Istotnie, cały wszechświat przedstawia trzy wielkie działy z trzema odmiennemi kategoryami powtórzeń. W świecie fizycznym jednostką jest martwa bryła najrozmaitszych rozmiarów (atom, ciało niebieskie), zasadą zaś zjawisk—ruch rytmiczny; w organicznym wszystkie objawy wynikają z powtarzania się przodków w potomkach, przekazywania swoich własności przez jedną komórkę innym. Wreszcie źródłem faktów społecznych jest naśladowanie czynów (w najszerszem tego słowa znaczeniu) jednego człowieka przez innych, pod rożnorodnemi formami: tradycyi lub mody, posłuszeństwa, sympatyi, wychowania. Zdaniem Tarde'a, cała socyologia sprowadza się właśnie do studyów nad naśladownictwem. Wprawdzie obok niego istnieje w życiu społecznem jeszcze coś innego: odkrycia, t. j. fakty, niebędące już powtórzeniem dawnych, lecz ukazujące się po raz pierwszy i stanowiące ośrodek, z którego nowa fala naśladownicza wybiega. Odpowiada to zjawieniu się jakiegoś nowego ustroju w świecie organicznym, różnego od dotychczasowych. Lecz jak stosunki wzajemne pomiędzy organizmami są przedmiotem już nie wiedzy, lecz filozofii; podobnież socyolog francuski odsyła do filozofii ukazywanie się odkryć w społeczeństwie. Autor usiłuje wykazać pewne styczności pomiędzy przytoczonemi trzema dziedzinami. Przedewszystkiem każda fala powtórzeń, wychodząc z pewnego punktu, posiada dążność do nieskończonego rozszerzania się; kamień rzucony do wody wywołuje wciąż wzrastającą liczbę drgań dokoła siebie, każda para rodziców odradza się w coraz liczniejszych potomkach, każde odkrycie (np. pierwsza podróż Kolumba do Ameryki) wywołuje dalsze a obfitsze powtarzanie. Powtórzenie, właściwe oddzielnej dziedzinie, doznaje spaczenia, przechodząc od jednego środowiska do innego; jak światło przeniknąwszy do innego ciała, odchyla się od dotychczasowego kierunku, tak samo naśladownictwo ulega zmianie, dostając się do innej rasy, np. zmiany lingwistyczne. Lecz sama fala naśladownicza, chociaż posiada dążność do nieskończonego rozszerzania się, nie zawsze to czyni — z powodu że spotyka inną, stojącą na zawadzie. Wkraczamy tu w zakres interferencyi społecznej. Jak dwie fale świetlne, spotykając się w tym samym atomie, mogą nawzajem wydać światło już większego, to znowu mniejszego napięcia i nawet zupełnie je zaćmić; jak dwa gatunki zwierzęce mogą powstrzymać wzajemnie swoje rozmnażanie się, równie dwa pożądania lub dwa wierzenia wzmacniają swem starciem lub osłabiają falę naśladowniczą. Zresztą Tarde kładzie nacisk jeszcze na jedną styczność pomiędzy światem organicznym a społecznym. Mianowicie nie każde podobieństwo wynika z powtórzenia, np. skrzydła pszczoły i ptaka. Tak samo w społeczeństwach różnych jedne fakty są następstwem naśladownictwa, lecz inne jedynie przypadkową analogią, bez związku naśladowniczego. Posiadają one wszakże drugorzędne znaczenie dla socyologii. Nie należy jednak mniemać, aby

*) G. Tarde, *Les lois de l'imitation.*

zjawiały się dowolnie; rozwój społeczny jest w gruncie rzeczy złożony z ogniw, wzajemnie powiązanych i uwarunkowanych, każde odkrycie jest oparte na ogóle dokonanych już z dodaniem nowego jakiegoś pierwiastku i służy za punkt wyjścia dla fali naśladowniczej, na której wypłynie dalsze odkrycie. Zresztą Tarde sądzi, że każde ważniejsze odkrycie ukazało się tylko w jakimś jednym punkcie globu ziemskiego i stąd rozszerzało się drogą zarazy umysłowej. Już to zapatrywanie świadczy, że niezmiernie ogranicza on znaczenie analogii socyologicznych.

Z toku rzeczy nasuwa się pytanie, czem jest społeczeństwo. Usiłowano je określić jako grupę jednostek, związanych nawzajem wymianą usług. Autor odrzuca ten pogląd, jako zbyt obszerny i jedynie zaciemniający istotę pożycia gromadzkiego. Mniema on, że wtedy należałoby niektóre gromady zwierzęce — np. mrowiska— uważać za doskonalsze, niż społeczeństwa ludzkie, ponieważ mamy tutaj większą obsługę wzajemną; tak samo stosunki pomiędzy baronem a poddanym byłyby wyższe, niż pomiędzy baronami. Dość wziąć ustrój kastowy, gdzie tak silna wymiana usług ekonomicznych istnieje pomiędzy kastami. Czy podobna uważać go za wyższy od dawnej Hellady, gdzie obywatele, żyjąc z pracy niewolników, byli w zupełnej względem siebie niezależności, lub od obecnej cywilizacyi europejskiej, dążącej do zamiany pracy ludzkiej przez maszyny i uniezależnienia ludzi nawzajem od siebie w zakresie ekonomicznym (?). Podobnie Tarde odrzuca, lubo uważa je już za wyższe, pojmowanie społeczeństwa prawne, mianowicie, iż polega on na tem, że pewne jednostki posiadają względem innych prawa, ustanowione lub zwyczajowe, jednostronne lub zobopólne. Raczej powyższym określeniom przeciwstawiłby inne, polegające na widzeniu w społeczeństwie solidarności wierzeń i pożądań, gdyby nie to, że taki stan rzeczy ukazuje się jako następstwo długiego procesu rozwojowo-naśladowniczego, który wytwarza właśnie coraz wybitniejsze ujednostajnienie pomiędzy pewną liczbą ludzi. Ostatecznie dochodzi on do twierdzenia, że społeczeństwo jest to gromada jednostek, które albo naśladują siebie nawzajem, albo nie naśladując się, są już tak ujednostajnione, że niejako przedstawiają wzajemnie kopie. To doprowadza go do zaznaczenia różnicy pomiędzy narodem a społeczeństwem; pierwszy stanowi powiązanie ekonomiczne, lub jakieś inne, które nie wyczerpuje jeszcze węzła społecznego: jednostka np. może wynarodowić się, lecz jednocześnie stanąć na wyższym poziomie uspołecznienia.

(D. n.).

LITERATURA I SZTUKA.

CZYNNIKI SPOŁECZNE W LITERATURZE.

II.

Bankructwo burżuazyi musiało się odbić w literaturze. Nic dziwnego. „Indywidualizm," który romantyka wynosił pod niebiosy, okazał się pognębieniem istoty ludzkiej, zamianą jej na cząstkę maszyny. Państwo „rozumu," w które wierzyli filozofowie z przed wielkiej Rewolucyi, urzeczywistniło się, jako państwo wyzysku, a rozkładające tchnienie złotego cielca owiało sobą wszystkie podstawy społeczne. Własność, zamiast coby miała przypaść w udziale pracy, stała się zdobyczą wszelkiego rodzaju rekinów, które pożerają ofiary zarówno w mętnej wodzie giełdziarskich szachrajstw, jak i w przybytkach legalnej kradzieży. Stosunki pomiędzy płciami zamieniły się w zwykły frymark, mieniący się wszystkiemi barwami upadku, począwszy od zwykłego „souteneur'stwa" *), karanego we Francyi dwuletniem więzieniem i kończąc na legalnem kupczeniu ciałem, które na rynku życia codziennego widzimy w postaci małżeństwa dla sytuacyi lub zysku. Trąd materyalizacyi przeniknął wszędzie, nawet do niezależnej niegdyś dziedziny myśli i słowa, w której prostytutki literackie wygłaszają swe „zasady" i „przekonania" po 2 kop. od wiersza i w której starzy libertynowie — w postaci szczedryńskich „wolnonajemnych" redaktorów — oszukując i wyzyskując na wszystkie strony i frymarcząc myślą, mają zarazem na ustach wielkie słowa wolności, poświęcenia i prawdy.

Nic dziwnego, że wszyscy bogowie, którzy w początkach bieżącego stulecia ożywiali myśl ludzką, leżą w gruzach, iż świetne niegdyś ideały mieszczaństwa, nawet na usta jego pisarzy tylko śmiech sarkastyczny ściągają (Zola i in.), iż myśl ludzka zwątpiła sama o sobie, iż silne osobistości, w którychby się krystalizowały prądy epoki zniknęły, gdyż same prądy wysiąkły, iż pstra mozajka współczesnej rozkładowej epoki musiała się odbić na wszelkiego rodzaju wyrodkach moralnych i umysłowych. Psychologiczną analizę tych wyrodków najlepiej przeprowadził, zdaniem naszem, znany krytyk i powieściopisarz, profesor genewskiego uniwersytetu, Edward Rod, który pod względem artyzmu formy i głębokości analizy może być śmiało postawiony obok Bourgeta. Postarajmy się scharakteryzować moralne bankructwo mieszczaństwa, o ile ono objawia się w ostatniem, młodem pokoleniu, podług trzech romansów Roda: „La course à la mort" (1886), „Trois coeurs" (1888) i „Le sens de la vie" (1889). We wszystkich trzech powieściach przeprowadzony jest jeden typ, typ człowieka, „w którym wszystkie strony woli się rozluźniły powoli, jedna po drugiej," w którym „zwątpienie o sobie samym (le doute de soi) paraliżuje wszelkie zdolności i powstrzymuje wszelki czyn," tak, iż stracił indywidualność i zamienił się w zwykły pantofel. Wypadki jego życia zamieniają się odrazu we wrażenia (sensations), „które bezpośrednia i nieświadoma analiza natychmiastowo rozkłada." To też radość i smutek „nie wytryskają zeń, jako z żywego źródła," przechodzą tylko zwykle przez skalpel tej analizy. Jeżeli kochał, to miłość „nie rozszerzała się do promiennego zapomnienia zupełnego użycia, ani do egoistycznej absorbcyi rzeczywistej boleści." Jeżeli marzył kiedyś o walkach społecznych, to natychmiast się ich wyrzekał przez rodzaj naprzód odczuwanego znużenia. Nie może on być ani zupełnie szczęśliwym, ani zupełnie nieszczęśliwym. Nie ma ani wrażeń, ani dążeń określonych. Zdolność pożądania, chcenia, użycia, jest w nim zupełnie przytłumiona. To też gdy śledzimy rozwój marnych jego miłosnych awantur, wydaje się, że mamy przed sobą eunucha. Przystępując do „ukochanej," pytał się: „co będę robił obok niej z mem nieprzezwyciężonem niezdecydowaniem"; „czułość jej rozbija się o jego wahania": usta wyciągnięte do pocałunku stygną, a ramię dążące do uścisku — opada. Słyszac jej głos po długiem niewidzeniu, „rozpędza się całą energią, by się wznieść ku miłości, lecz zostaje tylko zawieszony w tym rozpędzie." *Ona* by go mogła kochać, ale wola jego zbyt jest słaba, by nadać jej woli impuls decydujący — co najwyżej mógł ją wciągnąć do tegoż zaczarowanego koła zwątpienia, słabości i tchórzostwa. Uczucia swego, nie będąc go pewnym, nigdy przed nią nie wyznał. Ale w rzadkich chwilach silniejszego wrażenia, gdy wyznanie wisiało już na jego ustach, zjawiała się w nim jedna tylko chęć: *wyzwolenia*. „Jedna myśl go obejmowała: śmierć, śmierć, śmierć. Jego miłość nareszcie tryumfująca rozpływała się w jednem pragnieniu — niebycia." A więc pozostaje śmierć, ale na taki czyn potrzeba woli, na którą on zdobyć się nie może. „Tylko odważni są w stanie potargać swe pęta. Inni, jak ja, upierają się przy życiu, przez słabość i przyzwyczajenie."

Sądząc z dotychczasowego przedstawienia rzeczy, możnaby wywnioskować, iż mamy do czynienia z psychopatą, który „dojrzewa," albo nawet już „dojrzał" dla Charcota, ale z drugiej strony ze społecznych poglądów naszego bohatera, jak je Rod maluje, przekonywamy się, iż mamy przed sobą młodego, filozofującego patrona, który w żaden sposób nie jest w stanie wyskoczyć z sieci przesądów klasowych i przeto, tarzając się w dobrobycie, skazany jest na bezczynność i zbydlęcenie. Młoda gadzina kąsa własny swój ogon i „sama przyprawia jady, od których szaleje!" A więc naprzód mamy tu oklepany katechizm mieszczańskiego pesymizmu. Nie jest to zbawienne niezadowolenie ze stosunków społecznych, które samo już zawiera w sobie chęć czynu i rozkazu, lecz bezmyślna gadanina, oplatająca mózg pajęczyną idyotycznych sofizmatów. Pajęczyna ta, przemieniająca się w strzępki za jednem cięciem krytycznego umysłu, dla znudzonego filistra staje się koszulą Dejaniry, z której on w żaden sposób wydobyć się nie może. Nie będę wam powtarzał oklepanych frazesów o tem, że „życie jest tylko boleścią i cierpieniem," iż „długi placz odbija się poprzez wszystkie wieki," iż „zło jest istotą bytu, podczas gdy dobro jest tylko formą myśli, jak czas i przestrzeń" itd. Mówiło to i mówi wielu rozsądnych ludzi, może powtarzać i hamletyzujący filisterek, ale z chwilą, gdy stara się on nas upewnić, iż „ilości zła niepodobna zmniejszyć, gdyż wraz ze zwiększeniem dobrobytu i obudzeniem myśli zwiększa się ilość cierpienia" i w ten sposób chce usprawiedliwić swą bezczynność, wówczas porasta on odrazu szczecinką i zamienia się na halmetyzowanego prosiaka, od którego czuć... zadowolenie. On, który dopiero co z takim zapałem i poezyą zapewniał nas, iż wątpi o każdej swej myśli, iż rozpływa się w wahaniach przy najzwyklejszej kwestyi, odrazu, gdy chodzi o własną skórę, lub o skórę jego klasy, z zupełną pewnością siebie i rezolutnością woła, że „niema nic głupszego i szkodliwszego nad wysiłki humanistów, reformatorów wszelkiego rodzaju, których wiek nasz taką moc napłodził." Zresztą powiada on z pogardą, zdolną pobudzić do śmiechu homerycznego, że wszystkie te „chimery" dobre są dla głupich prostaków, którzy potrafią się łudzić. Takie mądre głowy, jak on, proszę was, w głupstwa wierzyć nie mogą. W cóż więc on wierzy? Tu zrywamy ostateczną maskę ze współczesnego „analisty," „dekadenta," „symbolisty," czy jak się też tam chcą nazywać. „Nie pożądając pieniędzy — mówi bohater Roda ze zwykłą sobie tęsknotą i rozanieleniem — ani dla nich samych, ani dla dogodności, które one dostarczają, będę się starać zwiększyć mój majątek i oddawać się troskom, któremi pogardzam." Jakie ono wzniosłe i niezadowolone, to współczesne „dziecię wieku" — nieprawda?

A wiecie, jakie jest ostateczne życzenie tego cudnego wykwitu cywilizacyi mieszczańskiej? Oto marzy on o podróży do oddalonego kraju ze zdrowym klimatem i bujną urodzajnością, „gdzieby można było zapomnieć o trudach myśli, o wyrafinowaniu uczuć i o zawodach serca." Tam, siedząc na sutej rencie, „czekać będzie, aż dusza jego pochłoniętą zostanie przez życie powszechne, jako tchnienie bezużyteczne i lekkie." Tymczasem zaś koło jego życzeń ścieśniać się będzie coraz bardziej, tak, by można było nareszcie ręką dotknąć ich krawędzi" — ostatnie wspomnienia i myśli w nim zamrą

*) *Souteneur* — mężczyzna na utrzymaniu („utrzymaniec").

i wegetować będzie na podobieństwo roślin, mnożących się wokoło. Takiej apoteozy zbydlęcenia jeszcześmy nie widzieli. Jest to esencya najnowszej filozofii mieszczańskiej.

Gdyby Mefistofeles zechciał skusić współczesną „skomplikowaną naturę“ — o czem zresztą wątpię, bo gra nie jest warta świecy — to miałby nieskończenie mniej mozołu, niż z Faustem Goethego. Współczesne „dziecko wieku“ można często kupić z całym jego pesymizmem, szczególniej za granicą, za kieliszek wódki. Rozumie się, kieliszek wódki może przybrać najrozmaitsze formy: począwszy od chustki, którą „niezrozumiana“ kucharka grzbiet sobie okrywa i skończywszy na rozetce, którą profesor do botaniki wkłada. Trzeba wam wiedzieć, iż prof. Rod został niedawno udekorowany i musimy przyznać, iż czerwona wstążeczka bardzo dobrze się odbija przy pesymistycznej smętności.

Widzimy więc, iż pomimo różnobarwności i subtelności, jakiemi lubią się otaczać współczesne „natury skomplikowane,“ nic łatwiejszego, jak zedrzeć wszelkie powłoki i dojść do jądra. Pod złożonym obrazem z łatwością odszukać tu można bohomaz. Jeszcze Arystoteles zauważył, iż człowiek jest istotą społeczną. W społecznym zaś organizmie musi on należeć do pewnego koła, warstwy, klasy i te wyciskają mu na duszy niezatarte ślady. Jest to piętno Kaina. Nie myślimy bynajmniej zaprzeczać, iż zagadki bytu wprawiają w zamęt najpotężniejsze umysły, iż głupota i nikczemność ludzka zdolne są pogrążyć w rozpacz najsilniejszą wolę: świat ten nie każdemu się przedstawia jako piękny sen młodego boga, jest to raczej bezmyślne majaczenie spitego satyra. Ale co za różnica między współczesnym Faustem obumierającej burżuazyi i Faustem burżuazyi młodej i potężnej! Byron zakończył rozstrojony poemat swego życia godnym finałem — ofiary! Heine był nietylko piewcą Weltschmertzu, ale zarazem przywódcą „Młodych Niemiec.“ Goethe przeprowadza Fausta przez wszystkie męki zwątpienia, przez wszystkie katusze bytu; potem rzuca złamane dziecko naszego wieku do stóp wiecznie młodego piękna Grecyi. Nie wyczerpał wszakże jeszcze tej duszy, nie potrącił wszystkich strun tego serca. „Społeczna działalność,“ uszczęśliwienie bliźnich jest ostatnim akordem wspaniałej tragedyi, ukoronowaniem dzieła, które nam daje na skończonego człowieka.

Współczesna „skomplikowana natura“ będzie wam mówić o śmierci, będzie skomleć, jak bezsilne szczenię. Ale wszystko na tem się skończy. Do Nirwany nie popłynie — niema obawy — ale natomiast wpinać będzie rozetki do dziurek od guzika, śpiewać hymny Schopenhauerowskie na cześć własności i kuponów akcyjnych — tych zjawisk pesymizm filozofa nigdy nie zadrasnął — i nareszcie zginie śmiercią naturalną na wygodnem łożu, „pośród kochającej żony i miłych dziatek.“

Leon Winiarski.

LITERATURA POLSKA.

Antoni Mazanowski: *Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego,* Warszawa 1890.

Jeżeli wogóle i dla psychologa i dla badacza stosunków społeczno-umysłowych ciekawą jest rzeczą, jak oceniają wzajemnie swą działalność współupracujące jednego pola, to kwestya dana staje się tem bardziej zajmującą, im wyższe pracowniey w hierarchii ducha ludzkiego zajmują miejsce. Autor, na podstawie ogłoszonych już materyałów, kreśli nam zarys ogniw, łączących ze sobą trzy osoby dziejowe, którym głos powszechny przyznał oddawna szczytną godność najwyższych kapłanów poezyi polskiej. Idźmy wytkniętym przez p. Mazanowskiego torem i przypatrzmy się wspólnym ścieżkom żywota znakomitych piewców.

Mickiewicz poznał Słowackiego, gdy ten był trzynastoletniem chłopięciem, w domu jego ojczyma, profesora Becu. Matka chełpiła się dowodami zdolności umysłowych swego jedynaka, a poeta świetną wróżył mu przyszłość. Spotkanie to wszakże, jako przypadkowe, bezpośredniego wpływu na pacholę wywrzeć nie mogło, chociaż autor *Grażyny, Sonetów* i *Konrada Walenroda* świecił dość długo młodzieńcowi pochodnią geniuszu i drogę ku wyżynom parnasowym torował. Słowacki, stawiając pierwsze kroki, dbał o zdanie Mickiewicza i uważał go za powagę w rzeczach poezyi. W r. 1832 znaleźli się obaj na bruku paryskim. Twórca *Dziadów* dobiegał zenitu w rozwoju swej potęgi pieśniarskiej, podczas gdy jego przyszły współzawodnik urósł nagle... we własnych oczach, na szerszy dopiero wstępując gościniec. „Dowiedziawszy się, pisze do matki, o śmierci Goethego, pomyślałem sobie, iż Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie, wydającego poezye, zrobić miejsce na świecie.“ Niewinny ten okrzyk, zdradzający nadmierne upojenie ducha dymem świeżej chwały, tłumaczy nam dostatecznie, dlaczego Słowacki nie patrzał już na Mickiewicza, jako na gwiazdę przewodnią. Dzięki wszakże pośrednictwu wspólnych znajomych, zawiązał się między nimi dość życzliwy, chociaż wcale nieserdeczny stosunek. Osłabł też on wkrótce, a potem zupełnemu uległ rozprzężeniu. Mickiewicz, używając przenośni, zapożyczonej z sonetu *Rezygnacya* („I serce ma podobne do dawnej świątyni, spustoszałej niepogód i czasów koleją...“) miał podobno dzieć, że poezya młodego piewcy jest „kościołem bez Boga.“ Słowacki żywi odtąd niechęć ku Mickiewiczowi i ośmiesza w swych listach zarówno wypowiedziane przez niego mimochodem zdania, jak „pomięty od koszuli kołnierz i frak zasmolony.“ Ogłoszenie trzeciej części *Dziadów*, gdzie profesora Becu w nader ujemnem przedstawiono świetle, rozdarło krótkotrwały między poetami związek i spowodowało nagły wyjazd Słowackiego do Szwajcaryi. Wypadek ten był dla młodego wieszcza ostrym, ale zachęcającym do żwawszego czynu bodźcem. Spotkali się oni jeszcze później i kilkakrotnie podali sobie dłoń życzliwą. Słowacki w r. 1834 powitał z oddali *Pana Tadeusza*, niby nowowschodzącą gwiazdę, a zachwyt poety zabliźnił ostatecznie ranę, zadaną człowiekowi. Gdy po pierwszej w Collège de France prelekcyi uczczono Mickiewicza obiadem składkowym, znakomity już wówczas autor *Ojca zadżumionych* zasiada pośród drużyny biesiadniczej i ze starszym mistrzem do turnieju improwizatorskiego występuje. Niebawem w imieniu współziomków wręcza mu on puhar srebrny, co pielęgnujący tradycyę średniowieczną drobnowidze objaśniają, jako symbol hołdu i zależności wasalskiej... Podrażnienie miłości własnej (wywołane plotkami i małostkami) obniża chłodną temperaturę stosunku, będącą skutkiem nietylko bliskiego współzawodnictwa, ale nadto wybitnej różnicy usposobień poglądów. Towianizm nadał stosunkowi serdeczniejszą barwę, ale nie na długo. Słowacki porzucił niebawem spółkę z ogółem „wybrańców“ i śród rozległych błoni mesyanizmu odrębną dla siebie wykreślił dziedzinę. Drogi żywota obu wieszczów już się ze sobą nie zeszły. Sądy Juliusza o Adamie cechuje w tej epoce przeważnie piętno jaskrawej nagany („*Pan Tadeusz* — powiada on — jest ubóstwieniem wieprzowatości życia wiejskiego...“); podczas gdy Mickiewicz, jako profesor w kolegium francuskiem, całą działalność swego współzawodnika pokrywa całunem ciszy grobowej.

Bardziej w swym przebiegu prawidłowy, chociaż daleki od serdeczności, był stosunek, łączący Mickiewicza z Krasińskim. Poznali się bliżej w Genewie 1830 r. O lat kilkanaście młodszy od Mickiewicza, Krasiński doznał pewnego zdziwienia, widząc przed sobą postać poważną, trzeźwą, głęboko myślącą a różnostronnie wykształconą. Inaczej go sobie wyobrażał, inaczej mu go przedstawiali starzy goście ojca z obozu pseudo-klasyków. Po kilku dniach znajomości pisze młodzian o Mickiewiczu: „O jakże fałszywe sądy były o nim w Warszawie. Rozległej jest nauki. Umie po polsku, po francusku, po włosku, po niemiecku, po angielsku, po łacinie i po grecku. Doskonale zna politykę europejską, historyę, filozofię, matematykę, chemię, fizykę. Słyszę go mówiącym, zdaje się, że każdą książkę czytał. Sądy ma bardzo trzeźwe, poważne o rzeczach. Smutny zwyczajnie i zamyślony; nieszczęścia już mu marszczki na trzydziestoletniem czole wyryły. Zawsze spokojny, cichy; ale znać we wzroku, że rzucona iskra zapali śpiący płomień w piersiach. Wydał mi się ideałem człowieka uczonego i geniuszu pełnego.“ W zdaniu tem jest może trochę przesady; ale świadczy ono o niepospolitej bystrości spostrzegawczej korespondenta. Były zadatki, wróżące ściślejszą między poetami przyjaźń: obaj bowiem przedstawiali charaktery czyste i umysły głęboko syntetyczne, zdolne do pogodzenia żaru, właściwego natchnionym pieśniarzom, z równowagą mędrca. Skończyło się jednak na dalekim stosunku. Bądź co bądź, podróż wspólna w góry berneńskie miała dla Zygmunta wielkie znaczenie. „Nauczył się, jak sam powiada, zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać; wielu przesądów, uprzedzeń, fałszywych wyobrażeń się pozbył.“ Śledził on pilnie przędzę poetycką Mickiewicza i dbał wielce o jego zdanie. *Improwizacyę Konrada* nazywa „dzielną,“ — „pielgrzymstwo głęboko pomyślanem,“ a *Pana Tadeusza* — „epopeją.“ W r. 1841 czuć już nowy zwrot w poglądach Krasińskiego; nie obniża on wprawdzie skali sądu swego o Mickiewiczu, ale stara się dowieść (w *Tygodniku lit.*), że Juliusz stoi na równej z nim wysokości. Towianizm rozbratał go z Mickiewiczem stanowczo, zwłaszcza gdy przestał się łudzić, „że siła ogromna, w tych piersiach zawarta, odmilknie.“ Wszystkie najbardziej krzywdzące, najjaskrawsze epitety, przypisywane zwolennikom doktryny (którą autor *Nieboskiej* uważał za jeden z przejawów idei „Pankracego“) spadają przedewszystkiem na barki głównych jej przywódców... „Wybornieby się zdał na towiańszczyka (mówi o Czarnomskim, wrogu swym—wydrwigroszu i oszczercy) — jeśli już nim nie jest; bo wszystkie w nim cechy wielkich duchów tej sekty: przewrotność, kłamstwo, obłuda, najdziksza zuchwałość i największa w potrzebie skrucha.“ Godne uwagi, że Mickiewicz zachowuje się podówczas dość przyjaźnie względem wieszcza-arystokraty: w r. 1843 wspomina on o *Nieboskiej komedyi*, jako o jednym z wzorowych dramatów świata słowiańskiego, a w 5 lat później prosi Krasińskiego w Rzymie, aby mu dodał wiary przystęp do papieża. Cóż ich rozdzieliło? Przekonania społeczno-religijne. W danej więc chwili mogli się i oni pożegnać dwuwierszem, wyśpiewanym niegdyś przez Słowackiego; stali bowiem na dwu przeciwnych biegunach.

Słowackiego z Krasińskim od r. 1836 serdeczna łączyła przyjaźń, a w dziesięć lat później rozbratała zasadnicza sprzeczność poglądów społecznych. Uzupełniali się oni wzajemnie: u Krasińskiego przeważał pierwiastek niebiańskiego spokoju i głębokiej harmonii, podczas gdy bogata wyobraźnia Słowackiego wrzała ruchem, migotała rozlicznymi kształtami, olśniewała powodzią barw i tonów. Korespondowali ze sobą długo, walczyli w imię wspólnych ideałów, wspierali się po bratersku.

„Żegnaj, o żegnaj, archanielе wiary,
Coś przyszedł robić z mojem sercem czary,

Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął na własne łono,
Ogrzał, oświetlił, by nie poszło w trumnę,
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne..."

Tak śpiewał w r. 1838 Słowacki. Przedmowy jego do *Balladyny* i *Lilli Wenedy*—to nierymowane, ale świetne dary muzy, to z uroczych kwiatów równianki, złożone na ołtarzu najtkliwszej przyjaźni. Krasiński odgrywał przy Słowackim rolę mistrza-filozofa: on pierwszy go ocenił i uwieńczył to, co na szczególne uwieńczenie zasługiwało: wiosenną różnobarwność, giętkość nieporównaną i królewski majestat stylu. „Gdyby słowa języka polskiego (rzekł on niegdyś) mogły stać się indywiduami, powinnyby się zebrać i złożyć na posąg dla Juliusza z napisem: *Patri patriae...*" „Chyba tak Liszt gra, jak on wiersze pisze. Biegną ku niemu miary, rymy, obrazy; a on je despotycznym kaprysem posyła, gdzie chce: każe im płynąć, a płyną; wić się powoli, a pełzną; wzlecieć, a wzlatują i lecą, jak orły. Język pod jego tchnieniem musi rozrabiać się i przerabiać bez końca, musi wszystkie przybrać kształty." Brat młodszy ciągnął nieznacznie starszego ku swoim filozoficzno-wiarowym wybrzeżom... W r. 1842, zostawszy zwolennikiem towianizmu, napróżno Słowacki usiłował wprowadzić przyjaciela na tę samą drogę. Odtąd zaczyna się proces umysłowo-moralnego rozwodu dwu serdecznych niegdyś druhów. Nakoniec wiersz *Do autora trzech psalmów*, zwany przez konserwatystów „herostratowską pieśnią," zerwał ostatnią nić długotrwałego a tak ścisłego związku. Między dwoma sercami bratniemi otworzyła się przepaść, którą dopiero śmierć Słowackiego zapełniła, wywołując na oko przyjaciela gorzką łzę szczerego żalu.

Praca p. Mazanowskiego nie przedstawia ani szczególnych zalet, ani wad wybitnych. Jest ona dość udatną (chociaż niezupełną i słabą pod względem psychologicznym) lepianką drobiazgów, dostarczonych przez różne (nie dla wszystkich dostępne) źródła i opracowania. Na tem też jedynie cała jej wartość polega. *A. G. Bem.*

TEATR.

Kośmiński Paweł, *Zły duch*, melodramat ludowy w 4 aktach, przedstawiony w Belle-vue.

Niedawnośmy na tem samem miejscu oceniali najnowszą sztukę p. Galasiewicza („Ciarachy"), obecnie wypada nam zająć się najświeższym utworem p. Kośmińskiego. Oba one są nabytkiem naszego wykluwającego się teatru ludowego i tem samem zasługują na szczególne uwzględnienie. Obaj autorowie jakby się zmówili, bo czerpali wątek u ludowych źródeł, z tą różnicą, że p. G. chodził na wieś, gdy tymczasem p. K. nie przekroczył obrębu Warszawy, i ograniczył się do „majsterków" i ich czeladzi. „Zły duch" p. Kośmińskiego jest tendencyjno-obyczajowym dramatem na tle życia rzemieślniczego, ozdobionym śpiewami i muzyką. Majster kowalski Stefan Przygodzki, który jest zarazem i podstarszym swego cechu, popadł w sidła kokoty i popełnia cały szereg czynów przewidzianych w kodeksie karnym oraz opinii publicznej. Jest on człowiekiem słabej woli, a ma aż tyle obowiązków: ojca, męża, przedsiębiorcy i kasyera cechu. Jako człowiek godny zaufania ma w swojem rozporządzeniu kasę cechową. Z drugiej znów strony wodzi go na pokuszenie kokota, trzymająca na uwięzi wdzięków zwiędłych jego zmysłowość—kusi go do złego ów tytułowy „Zły duch". Za jej namową, a raczej pod wpływem zręcznie rzuconego słówka, poopala ojcowiznę swoją, kuźnię zabezpieczoną na pewną sumę, a wprzód jeszcze, dla dogodzenia kochance, roztrwonił pieniądze publiczne — kasę cechową. Gdy się przekonał, że w zamiarze kochanki leżała zagłada jego żony, na którą ona nasadziła dwóch łotrów, brata własnego i kochanka—odtrącił niegodną, a nawet w pierwszem uniesieniu nożem na nią się zamierzył. Ale świadomość, że stał się podpalaczem i złodziejem doprowadza go do samobójstwa. Na tem się kończy akcya melodramatu. Około tej głównej osi snują się na scenie uboczne postacie kolegów cechowych Stefana Przygodzkiego, mężnie rozcieńczających resztki oleju we łbie gorzałą, pokątnego doradcy i mętów społecznych, filtrowanych codziennie bezskutecznie przez ratusz, cyrkuły i „pawiak". Trzeba przyznać panu Kośmińskiemu, że w odtwarzaniu „wyrzutków" społecznych, tego „Lumpenproletariatu" naszego ma niezaprzeczony talent. On to po raz pierwszy wprowadził na scenę gwarę „andrusów" z powiśla i złodziejów warszawskich i obok wykwintu salonowego postawił brutalstwo knajp i czeluści wielkomiejskich. Zasługa to niemała. Przynajmniej uprzywilejowana klasa, owa wdzięczna główka Apolina, osadzona na torsie byka, uprzytomni sobie, jakie ją stopy podpierają.

Jednakże życie rzemieślnicze, jego rdzeń społeczny słabsze znalazł odbicie w „Złym duchu", niż w poprzednim utworze autora, w „Walce." Przez całe pięć odsłon widzimy tylko przed sobą mnóstwo efektów dekoracyjnych, niedomaganie rodziny teczesnej, które niewątpliwie zaczyna już dolegać i drobnomieszczaństwu, lecz żywo przypomina dramaty wielkiej burżuazyi—a po za tem mało co. O głóWną osnowę społeczną, o stosunek najmity do chlebodawcy, pracy do kapitału, nieśmiało autor potrąca. Raz tylko duszę widza elektryzuje na chwilę sympatyczny widok kuźni i grona kowali—najmitów, o rękach żylastych, w bluzach roboczych. Ale cóż z tego? Przez całe cztery akty rozpiera się przed nami niedołęstwo i upodlenie kierownika produkcyi, a ci bluzowcy—trusięta stoją, jak figuranci, u kowadeł i wywołują z nich świetlne efekty. Jeden tylko z pomiędzy nich „pyskuje" nieco na majstra za niewypłacone zarobki. Nie chcemy o to winić p. K.

Nasz teatr ludowy jest jeszcze w zawiązku i różne zapewne przejdzie w przyszłości koleje, różne przezeń prądy przewieją, ale na wsteczne wkroczyłby tory, gdyby odbił w sobie wszystkie echa publicystyki naszej, gdyby się zabarwił nienawiścią plemienną. Nawoływania w tym kierunku już się rozległy, już recenzent teatralny w *Wieku* podsunął p. K. wątek do wyzyskania na scenie ludowej, mianowicie objaw zaślepienia zabobonnego rabina w lubelskiem, który poradził piekarce, współwyznawczyni swojej, żeby dla sprowadzenia na chrześcian epidemii grasującej wśród żydów, kładła do pieczywa paznokcie i włosy zarażonych. Może jeszcze jaki inny Filip z Konopi poradzi ku dobru narodowemu wzbogacić scenę bajdami o wytaczaniu krwi niewinniątek chrześciańskich w celach rytualnych. Toby było nadzwyczaj umarające... *Z. A. P.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Gwiazdy narodów. — Zbłąkane statki. — Mylne ocenianie siły. — Co obroniło zwycięzonych. — Francya i Afryka. — Zakopane skarby. — Groby i cmentarze.— Obrońcy Grecyi. — Świadomość bezpieczeństwa. — Lepsze powiewy. — Kandydaci na prezesowstwo w komitecie Tow. kred. ziemsk. — Odwaga i szczerość przekonań w teoryi a potrzeba w praktyce. — H. Silberstein. — Za wielki łup śmierci.

„Pamięć o mężach—powiada Auerbach—w których żywo objawiła się ludzkość, jest najlepszym spadkiem, jaki dziedziczymy po przeszłości i historyi; są zaś imiona tak niewzruszone i wieczne, jak gwiazdy na niebie, a gdy na otwartem morzu nie wiemy, w której okolicy świata jesteśmy, znajdujemy drogę z gwiazd na niebie." Prawda tych słów obrzucała mi niedawno swymi blaskami myśl, gdym wraz z wielotysięczną rzeszą wpatrywał się w jedną z takich gwiazd pierwszej wielkości i gdym równocześnie spojrzał na to ciągłe błąkanie się wielkich i małych statków ludzkich po morzu, których załogi i przewodnicy, zamiast szukać drogowskazów w górze, gdzie jaśnieją wiecznie znaki promieniste, szukają ich na dole, gdzie widzą tylko fale zmienne i otchłań bezdenną. To też czy która z owych łodzi, czy który z owych olbrzymich pancerników płynie w jakimś stałym kierunku, czy wie, dokąd dąży? Wszystkie usiłują tylko utrzymać się na powierzchni rozkołysanego i bezbrzeżnego oceanu, wszystkie starają się posiąść i zapuścić mocne kotwice. Wyrabia je i zaleca militaryzm, panujący obecnie w całej żegludze politycznej. Genialni admirałowie, odkrywcy nowych ziem wymarli; ich władzę i rolę przejęli kapitani okrętów.

Nietylko wymarli, ale wygasają w pamięci. Potężne, świetlane duchy przeszłości rzadko już przewodniczą narodom, które na swych sztandarach coraz chętniej wyszywają nie gwiazdę, ale wizerunek tygrysa, godło ich siły i przebiegłości. Każdy pragnie być możliwie ubezpieczonym i mocnym: więc zakuwa się w stal, piłuje sobie kończato zęby, ażeby były ostre, zapuszcza długie paznokcie, ażeby utworzyły szpony, bierze w jedną rękę maczugę, w drugą zatrute galki — i tak zbrojny czeka napaści lub przyjaznej chwili do ataku. Jeżeli to robi silny, trudno się dziwić, że go naśladuje słaby. A jednak mylą się oba, drugi zaś tyle razy więcej, ile razy od pierwszego najsłabszy. Zastanówmy się co właściwie uratowało Francyę od zupełnej zagłady przed 20 laty, kiedy na nią zwalił się huragan niemiecki? Jej cywilizacyjny majestat. Przecież zwycięzca mógł ją ujarzmić, jej wojska zgnieść, jej ziemię przyłączyć do swoich posiadłości jako prowincyę — czemuż tego nie uczynił i cofnął się przed całkowitym zaborem? Nie śmiał targnąć się na to, czego odebrać jej nie mógł, co pozostaje nietykalnem i niedostępnem dla żadnej siły — chwała w historyi. Skoro domy padną w gruzy, polegną wojska, runą pod kulami fortece, skoro już zniknie wszelki opór, wtedy otwierają się na cmentarzach groby i wychodzą z nich wielkie duchy, które powstrzymują zwycięzkie armie. Nie otworzyły się takie groby, bo nie miały takich duchów w dzikiej Afryce; to też Anglia i Niemcy mogły w niej bez skrupułu zagarnąć daleko rozleglejsze kawały ziemi, niż Francya, i uczynić z nich swoje dzielnice.

Jeżeli zaś tak zawodną jest ta siła, którą obecny militaryzm potęguje, dla narodów wielkich, to cóż mówić o małych, przedstawiających taki opór, jak źdźbło słomy zatknięte w wartkim potoku! Może jakimś Bułgaryom i Serbiom nie przerywa tak snu dręcząca zmora, gdy ich granic strzegą garście wojska; ale czemże te garście są wobec milionowych armij? Słomą w potoku. Czy więc można powiedzieć, że takie drobne kraiki i narodki są ubezpieczone siłą zbrojną? Nigdy, co najwyżej ochraniają je — jeżeli istnieją — świecące mogiły. Nieraz, gdy burza rozwali lub ogień zniszczy chatę i jej sprzęty, jedynym majątkiem i ratunkiem biedaka jest zakopany w ziemię garnuszek zaoszczędzonych, złotych lub srebrnych pieniędzy. Podobnie jedynym majątkiem i ratunkiem ludów po burzach i pożarach bywają złożone w historyi skarby dorobku cywilizacyjnego, w grobach relikwie wielkich ludzi. Taki skarbiec jest najlepszym arsenałem, a taki cmentarz — twierdzą, która ocaliła życie wielu naro-

dom ze zniszczonemi chatami. To też p. Crispi, podnoszący swoją nogę podczas kucia konia niemieckiego, jest zabawnym, bo francuski bocian zjadłby włoską żabę mimo jej podkowy; ale Mascagno — jeżeli prawdą jest, że w nim objawił się geniusz muzykalny — starczy Włochom za armię, jak starczyli: Rafael, Michał Anioł, Dante i inni. Nie rozumieją tego państwa olbrzymie, ale pojmują orężną wartość wielkich duchów przeszłości — małe. Nowożytną Grecyę uratowali nie jej wodzowie na polach bitew, ale nieśmiertelni synowie starej Hellady. Gdyby nie Homer, Plato, Aristoteles, Fidiasz, Perikles, Sofokles i inni, byłaby ona teraz prowincyą turecką bez pretensyi do samodzielności i bez opieki ze strony mocarstw.

Oto jest nieustające nigdy znaczenie geniuszów, jako jedynej i najskuteczniejszej osłony i zbawienia dla tych, po których przeszły burze, oto powód „kultu wielkich przodków,“ którzy potomnym zostawili bogate, niezmarnowane przez nich dziedzictwo.

Myśli te przesuwają się z pociechą wobec tych olbrzymów, które — za radą Bismarka — stanęły na straży pokoju. Istotnie, gdyby nie ta pociecha, ludzie, żyjący po za straszliwemi machinami militaryzmu, doszliby do rozpaczy. Szwajcar, stanąwszy u stóp Montblancu, widzi, że wobec tej góry jest drobnym robakiem; ale ona jest martwą bryłą, nie ruszy się i nie zgniecie go. Tymczasem jakiego uczucia dozna ów szwajcar, albo raczej wszyscy szwajcarowie, wobec 3-milionowej armii niemieckiej, która ich na jedno skinienie mogłaby ich zmiażdżyć, jak stado słoniów mrowisko? Jeżeli nie drżą, jeżeli nie umierają w trwodze, jeżeli mają świadomość jakiegoś bezpieczeństwa, to tylko dzięki przekonaniu, że ten najeżony stalową szczeciną i nakarmiony ogniem potwór cofnie się przed majestatem narodu cywilizowanego i nie pożre go. Chociaż „żelazny książę“ usiłował potargać, zdeptać i między rupiecie rzucić wszystkie prawa i pobudki moralne, wszystkie siły, nietkwiące w nabojach karabinów i dział, została i otrząsa się ze strachu wiara, że one są i będą mocnym puklerzem przeciw dzikim instynktom militaryzmu, że on nie ze wszystkich świec, które paliły się na ołtarzach cywilizacyi, zdołał porobić lonty do armat, a zabrane do tego celu prędzej czy później musi wrócić. Z Anglii, gdzie odbywały się narady „przyjaciół pokoju,“ z Niemiec, gdzie gazety, jak niewolnice, zbiegłe z haremu okrutnego wezyra, odzyskują swoją godność, z Włoch, gdzie idea międzynarodowych sądów rozjemczych wystrzeliła jak świetna rakieta śród nocy, zewsząd nadlatują powiewy budzącego się w piersiach ludzkich pragnienia, ażeby łodzie i okręty narodów popłynęły w kierunku wielkich duchów, w kierunku gwiazd, które na niebie świecą.

Zastrzegam wyraźnie, że w powyższych uwagach miałem na myśli większe statki, niż tak malutka łupina, jak Towarzystwo kredytowe ziemskie, które dla swego komitetu szuka również „wielkiego ducha.“ Miał być nim dotychczasowy prezes, p. Ostrowski, który, zmęczony wiekiem, ustępuje ze swego stanowiska i chce złożyć laskę w inne ręce. Niektóre pisma wyprowadziły już dwu kandydatów i rozpoczęły głosowanie, które prawdopodobnie nie będzie miało rozstrzygającego wpływu na wybór. Obaj cieszą się uznaniem, obaj otrzymują sowite pochwały, ale daleko więcej ten, który jest usuwany na drugie miejsce. Może się mylę, ale zbyt pochopne podawanie cukierków dziennikarskich p. Lud. Górskiemu wygląda tak, jak gdyby nimi chciano tylko uraczyć jego ambicyę i wmówić, że on sam przyjęciem urzędu zadowolić jej nie chce. Hołdownicy zdają się szeptać: my cię czcimy, kochamy, uwielbiamy, ale wolelibyśmy, żebyś prezesem komitetu... nie został. Czy p. Górski w tym duchu zrozumie ofiarowane mu wieńce obywatelskie, a nadewszystko, czy na nich poprzestanie— wkrótce zobaczymy. Ma on wielu, nawet bałwochwalczych czcicieli, ma niezawodnie poczucie swojej ważności i uzdolnień, więc może nie usłucha dwuznacznych pochlebstw i jako kandydat wystąpi. Jego zwycięztwo lub porażka i wogóle wybór prezesa komitetu mieć będzie co najwyżej znaczenie dla samej instytucyi i związanych z nią kół ziemiańskich. W tym obrębie godność ta jest cenioną, ale donioślejszej wagi społecznej nie posiada. Nie rozpatrujemy też ani cnót, ani talentów ludzi, którzy o nią ubiegać się mogą i pragną, bo jest to sprawa — że tak powiemy — familijna, rozszerzona przez organy sfery ziemiańskiej do rozmiarów faktu niezwykłego; zastanowimy się tylko nad maleńką burzą w tej szklance wody. Ktoś w *Kuryerze warszawskim*, oburzony lękliwem, choć z wielką galanteryą dla p. Górskiego oświadczeniem się za margr. Wielopolskim, skarcił zuchwalstwo prasy, która śmie objawiać swoje zdanie w przedmiocie wyboru prezesa. Ta apostrofa „szóstego mocarstwa“ lśni się barwą nader charakterystyczną, bo przekonywającą, jak dalece ono jest lekceważonem i ograniczanem w swych prawach nawet przez rzeczników Towarzystwa kred. ziemskiego. Na litość, powiedzcież, jeżeli prasie w tej kwestyi zabierać głosu nie wypada, to cóż jej wolno? *Kuryer codzienny*, odtrącając w zasadzie to ograniczenie, udziela ze swej strony naganę *Kuryerowi warsz.* i *Wiekowi* za to, że popierając kandydaturę margr. Wielopolskiego, tj. „chcąc wpływać na bieg spraw publicznych,“ pisma te nie posiadają dostatecznej odwagi przekonań i szczerości i posługują się w swej protekcyi takimi ogólnikami, jak: „okoliczności istotnie wpływowego znaczenia,“ „zdrowy oportunizm,“ „obecne stosunki.“ „Jakież to są okoliczności i jakie stosunki?“ — pyta *Kuryer codz.*, żądając stanowczej i jasnej odpowiedzi. Przy tem mężnem pytaniu można istotnie parsknąć serdecznym śmiechem, bo wytwarza ono złudzenie, jak gdyby otwarta krytyka ludzi i rzeczy była szczególnym przymiotem i powszechnym zwyczajem prasy, tj. gdybyśmy w sprawach miejscowych nie wykręcali się (pod groźbą nieprzyzwoitości i warcholstwa) najczęściej „dyplomatycznemi niedomówieniami.“ Niech mi *Kuryer codzienny* wskaże jeden wypadek, w którymby organy t. z. „dobrego tonu“ przy jakichkolwiek wyborach poddały kandydatów bezstronnej i śmiałej krytyce. Sam on podniośliszy tę kwestyę, przyznawszy prasie „prawo wyrażania swego sądu“ i wytknąwszy innym lękliwość, półsłówka i dyplomatyzowanie, cóż powiedział? Nic. Ominął zręcznie rdzeń rzeczy i zdyplomatyzował. Nie „osądził“ zalecanych kandydatów, do czego miał przecie „prawo,“ nie oświadczył się za żadnym, tylko postawił zły stopień tym, którzy oświadczyli się za jednym. Czy więc on, czy strona przeciwna okazała w tym wypadku więcej „odwagi i szczerości przekonań“? Zbyt to wygodna taktyka i łatwa śmiałość ganić kogoś za „niedomówienia,“ a samemu nic nie mówić i rozstrzygać sprawę milczeniem.

Co *Kuryer codz.* zachwala w teoryi, to niezmiernie przydałoby się nam w praktyce. Wtedy nietylko wiedzielibyśmy, kto jest godniejszym urzędu obywatelskiego, ale po prasie nie chodziłaby szkodliwa tolerancya i nie kładła palca na usta każdemu, kto chce je otworzyć przeciw niecnocie i występkowi. Więc zachowajmy szan. moralistę do złamania szkodliwego obyczaju, ale... czynem.

Martwemu już dziś dr. H. Silbersteinowi wybaczą czytelnicy *Prawdy*, że owładnięty nieuleczalną chorobą, artykułów swoich o „Związku zjawisk w czasie i przestrzeni“ nie dokończył. Śmierć tak szybko przecinała pasmo jego życia, że jeszcze pracował, kiedy już stał nad krawędzią grobu. Charakter to był zacny, umysł silny i głęboki, więc strata człowieka tej miary moralnej i umysłowej jest dla społeczeństwa i piśmiennictwa dotkliwą a tem boleśniejszą, że przedwczesną. Na polu nauki niewielkim zastępem pracują u nas siewcy i żniwiarze, odłogów i ugorów w niem za wiele, plony liche, nieurodzaj częsty; więc smutno, gdy ubędzie człowiek, który tę niwę z zapałem i powodzeniem uprawiał, serdecznie ją kochając. Nieboszczyk zaledwie nawiązał swój stosunek z *Prawdą*, zaraz jednak dał nam sposobność poznania swych przymiotów, o których pamięć zmienia się dziś na żal serdeczny. Grób zamknął w sobie człowieka nietylko rzetelnej prawości i wiedzy, ale także wielkiej nadziei: zabrał więc żyjącym za dużo.

NA WIDNOKRĘGU.

Ustawa o klubach towarzyskich na prowincyi. — Los istytucyj Schultzego z Delitsch u nas. — Upadek przedsiębiorczości chrześciańskiej w Płocku. — Pokątne doradztwo.

Postanowieniem ministra spraw wewnętrznych z d. 6 czerwca 1890 r. zatwierdzona została nowa „ustawa normalna dla resurs w guberniach Królestwa Polskiego.“ Dotyczy ona tylko prowincyi, Warszawa z niej jest wyłączona. Nowa ustawa wprowadza „zasadnicze“ zmiany w dawnej, dotychczas obowiązującej. Oto są główniejsze z nich: Resursa w miastach gubernialnych ma być otwartą dla członków do godziny pół do drugiej, w powiatowych zaś oraz innych — tylko do 1-ej po północy. Przekraczający ten przepis podlegną grzywnie za pierwsze pół godziny 30 kop. Kara ta za każde następne pół godziny nadużycia będzie wzrastać i za siódmą urośnie po miastach gubernialnych do 38 rs. 10 kop., a w powiatowych do 23 rs. 80 kop. W kwadrans po siódmej półgodzinie, czyli o 5-ej rano, resursa obowiązkowo winna być zamknięta. Stosuje się to nietylko do posiedzeń zwykłych, lecz także do wieczorów tanecznych, balów lub maskarad, kara jednak może być przez zarząd lub zebranie ogólne zmieniana. Członkowie dzielą się na zwyczajnych i honorowych. Do tych ostatnich z urzędu należą: gubernator w swojej gubernii i naczelnik powiatu w resursach swojego obrębu władzy. Członkowie zwyczajni wnoszą coroczną opłatę, której wysokość ogólne zgromadzenie członków oznacza. Zarząd klubu pozostaje w rękach komitetu z udziałem członków komisyi rewizyjnej. Wszystkie postanowienia, książki rachunkowe i wogóle cała korespondencya muszą być prowadzone w języku ruskim (§ 24). Komitet składa się z prezesa i parzystej liczby członków. Prezesem z urzędu jest gubernator lub naczelnik powiatu, członkowie zaś wybierani być winni w ten sposób, żeby nie mniej nad połowę komitetu składała się z osób narodowości ruskiej (§ 25). Według uwagi do § 25, na trzech członków ruskich jeden musi być wybrany do komitetu, w razie zaś gdyby żywioł ruski danej miejscowości okazał się niedostatecznym do urzeczywistnienia powyższego warunku i druga połowa komitetu nie dała się złożyć z ludzi ruskich — uzupełniona może być z członków innej narodowości. Obowiązkiem prezesa komitetu (gubernatora lub naczelnika) będzie obliczanie ilości wybranych ruskich członków. Miejsce ruskiego członka zarządu, zmarłego lub wychodzącego może zająć tylko rosyanin. Znaczenie i potrzebę wydania ustawy normalnej dla resurs prowincyonalnych określa § 65, który zarazem zaznacza, że ustawa ta ma być wskazówką przy rozstrzyganiu składanych do zatwierdzenia ustaw klubów. Każdy więc nowopowstający klub będzie musiał wzorować swoją ustawę na normalnej.

Stanowczo grunt nasz dla rozwoju kas zaliczkowo-wkładowych w wysokim stopniu jest nieprzyjazny. Prawie można uważać za rzecz dowiedzioną, że wszystkie inne czynniki, prócz ekonomicznego, zmieniają go w twardą opokę dla rozwoju u nas „wszechleczącej“ spółdzielczości według wzorów wiekopomnej pamięci Schultzego z Delitsch. Niedawno *Kuryer warszawski* musiał, niestety, sprostować zdanie *Nowoje Wremia* w sprawie przeznaczenia zasobów miejskich Królestwa Polskiego, złożonych na rachunek bieżący w warszawskim kantorze Banku państwa. *Nowoje Wremia*, wyprzedzając o wiele życzenie tej instytucyi kredytowej, doniosło, jakoby milionowe zasoby miast naszych miała ona przeznaczyć na fundusz kas zaliczkowo-wkładowych dla przemysłowców i rzemieślników miast odnośnych. Złudzenie to musi być z głowy wyrugowane. Bank państwa oświadczył, że wypożyczanie powierzonych mu kapitałów nie leży w sferze jego działalności, że może tylko własne wypożyczać. Sprawa więc zużytkowania zasobów nagromadzonych przez nasze miasta w skarbnicy Banku niema szans urzeczywistnienia i musiałaby być rozejrzaną przez jego radę, która jest z zasady przeciwną powstawaniu u nas kas zaliczkowo-wkładowych z tego źródła.

Żeby dokładniejsze powziąć wyobrażenie, jak ciężkim bywa u nas poród rzeczonych kas, a jak ciasne pieluszki wiecznie obecne przy ich dalszym rozwoju, wystarczy opis przygód nienarodzonej jeszcze a tak pożądanej dla żywiołów drobnomieszczańskich — „szulcówki“ w Płocku. Potrzeba jej, wobec coraz głębiej wpijających się ssawek lichwiarskich w warsztaty płockich liliputów produkcyi, była od dawna przez ludzi wpływowych ocenioną. Znaleźli się nawet dobrodzieje w osobie sukcesorów Lipskich po generałowej Józefie Sierakowskiej, którzy zapis uczyniony w sumie 5,000 rs. na rzecz płockiego Tow. dobroczynności przeznaczyli na założenie tamże kasy pożyczkowej dla rzemieślników. Zapis jednak utonął w nurtach licytacyi wraz z hipoteką dóbr Chodcza-Górna i Chodcza-Dolna, na których obok długów Towarzystwa kredy. ziemsk. był zabezpieczony. Narodziny kasy przeto także musiały nadal pozostać w sferze marzeń. Ale znaleźli się „ludzie czynu.“ Kilku obywateli miasta Płocka, których inicyatywie zawdzięcza swój byt tameczne Towarzystwo kredytowe, na podstawie obowiązującej dla Królestwa Polskiego ustawy o stowarzyszeniach spółdzielczych, wniosło na ręce b. gubernatora płockiego, p. Miller, podanie do ministra o pozwolenie otwarcia kasy zaliczkowo-wkładowej. Na prośbę ministeryum spraw wewnętrznych przed paru tygodniami odpowiedziało — odmową *). Otóż wobec tej odmowy — podług słów korespondenta *Wieku* — przypomniano sobie ustawę stowarzyszenia spożywczego i kasy pożyczkowej w Płocku p. n. „Zgoda.“ W odnośnych paragrafach odkryto ustawę najrozleglejszej działalności kasy pożyczkowej, zostającej od kilku lat w letargu. Posiada ona obecnie przeszło 2,000 rs. funduszu. Korespondent więc radzi nie szukać cudzych bogów, lecz wskrzesić obumarłą kasę. Na to dość, jego zdaniem, rozwinąć i uzupełnić odnośny paragraf ustawy stow. spoż. „Zgody“ i zachęcić żywioły drobnomieszczańskie do licznego zapisywania się. Istotnie, innym nie może być los naszych instytucyj. Jakie warunki, takie drogi ich rozwoju. Czepiać się muszą te mizerne rośliny pozostawionej sobie skały lub wyrastać w jej ukrytych szczelinach...

Na wątłe instytucye składają się niekiedy wątli ludzie, po karlich ścieżkach chodzą karły. Nic chyba bardziej nie potwierdza tego wniosku, jak długie biadanie *Wieku* na upadek w Płocku handlu chrześciańskiego. Kupcy gliny aryjskiej zmarnieli w tem mieście do szczętu. Opuszczone stanowiska podobno coraz tłumniej zajmują żydzi. Handel tytoniem zarówno w Płocku, jak i miasteczkach okolicznych, znajdować się ma już od dawien dawna w rękach żydowskich, w samym zaś Płocku od roku całkowicie w nich spoczął. To samo z innemi gałęziami handlu. Galanterya, towary bławatne (wysortowane w centrach przemysłu krajowego) i trunki wyskokowe—są dostarczane spożywcom za pośrednictwem żydów. Cały szereg przyczyn tego stanu rzeczy wylicza wzmiankowane pismo. Prócz okrzyczanej konkurencyi żydowskiej rosnącej z każdym rokiem i „ciężkich czasów,“ znajduje się tam „nierozumna, źle prowadzona rachunkowość“ pp. kupców chrześcian. Wysoce jest charakterystyczne, że nakreśliwszy posępny obraz wyzysku i rozpanoszonej tandety w stosunkach spożywczo-wymiennych Płocka, jedyne zbawienie widzi korespondent w wielkim kapitale chrześciańskim, któryby cenami warszawskiemi i jakością towaru mógł zło pokonać. Słuszne nadzieje, ale niechże to raz już się stanie!

Inną plagą Płocka jest — pokątne doradztwo. Policya naliczyła na palcach aż 38 przedstawicieli tego fachu, w tej liczbie 18 żydów. Teraz z nimi krucho, bo władze nad nimi rozciągnęły baczny dozór. To jednak ich nie unicestwia, a nawet nie wysadza z raz obranego siodła. Muszą istnieć jako niezbędne dopełnienie „studziałkowej“ własności i ciemnoty jej przedstawicieli. Nadzieje na „duch obywatelski“ wykwalifikowanych obrońców prawnych z ławy uniwersyteckiej, którym naiwni publicyści przemocą narzucają rolę światłych doradców dla ciemncj braci — długo, jeśli nie na zawsze, przy danych warunkach pozostanie nietylko nadzieją, ale płonną. Obrońca przysięgły z natury zajmowanego stanowiska w społeczeństwie, stworzony jest na obrońcę większej własności i większego kapitału. Z pokątnem doradztwem rzecz się ma tak samo, jak z pokątnem lecznictwem, czyli znachorstwem. Dla obrony zdrowia istnieją rządowe posady lekarzy; pytam, co stoi na przeszkodzie urzędowi państwowych obrońców prawnych dla ludu? Wobec zabiegów czynionych przez rząd w ostatnich czasach na rzecz dobra własności drobnej, myśl ta mimowoli ciśnie się pod pióro. Dopiero wtedy walka z pokątnem doradztwem mogłaby być względnie łatwiejszą. Tymczasem zaś z mętnej sadzawki ludu nie przestanie on łapać na wędkę złotych rybek nieprawego zarobku. Stokrotnie ukarani więzieniem, stokrotnie obedrą głupich klientów. Obecnie w zjazdach i sądach pokoju wywieszone są tablice dla ostrzeżenia publiczności, zawierające nazwiska osób, trudniących się pokątnem doradztwem. Zuchwałość ich jednak tak daleko sięga, że pręgierz, pod którym ich postawiono, umieją na swoją korzyść wyzyskać. Zdarza się, że pokątny doradca podprowadza swego piśmiennego klienta do tablicy ostrzegawczej, na której sam jest wypisany, i z całą pewnością siebie powiada: „A co, widzisz? Ja tu jestem wypisany, ale adwokata (przy tem wymienia nazwisko któregokolwiek z obrońców bardziej wziętych) niema, bo mu stawać w sądzie nie wolno.“

Z. Atanazy.

*) Jest to zapewne chwilowe nieporozumienie między władzami, bo przecież właśnie więcej niż przed paru tygodniami, na skutek starań Tow. popierania przemysłu i handlu, z kancelaryi Naczelnika kraju nadeszła odpowiedź, że o ile kasy zaliczkowo-wkładowe ogarniać mają sfery miejskie i podkopywać nie będą istnienia kas gminnych wiejskich, które są popierane przez władze, rząd przeciw nim nic niema. *Przyp. autora.*

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Władze policyjne rozciągnęły dozór meldunkowy nad przedmieściami Warszawy, żeby, jak pisze *Kur. warsz.*, położyć tamę nagromadzaniu się w okolicach miasta „niebezpiecznej ludności.“

— Aby marnujące się na żebraninie i włóczęgostwie siły robocze uczynić przymusowo produkcyjnemi, w ministeryum spraw wewnętrznych, jak donosi *Grażdanin*, wypracowano projekt domów roboczych dla żebraków. Każdy żebrak, skazany dwukrotnie na karę za wyłudzanie jałmużny, będzie umieszczony na nieograniczony czas w domu roboczym, gdzie mają być urządzone warsztaty tkackie i koszykarskie. Instytucya domów roboczych ma wejść w życie od początku roku przyszłego.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę kasy pożyczkowo-wkładowej dla urzędników pracujących w zarządzie powiatu grójeckiego gub. warszawskiej.

— *Nowoje Wremia* donosi, że zatwierdzone zostało Towarzystwo akcyjne przyjmowania towarów na skład, asekurowaeia ich, przewożenia i wydawania na towary zaliczek. Kapitał ogólny wynosi 3 miliony rs. Wydaną zaliczka nie może przenosić 75% wartości towaru, jeżeli to jest zboże i 60% dla innych.

— W Petersburgu zawiązuje się Towarzystwo wzajemnej asekuracyi od utraty miejsca. Każdy członek będzie miał od towarzystwa pomoc czasową. Towarzystwo ma mieć własny kantor rekomendacyi dla poszukujących pracy, jak również specyalnych agentów wśród fabrykantów, kupców itd.

— Dla wytępienia żebractwa ma być zabronione wydawanie paszportów mieszczanom i włościanom, odesłanym na miejsce urodzenia za domaganie się jałmużny, na przeciąg czasu dwuletni.

— Jeden z objawów interwencyi państwowej w sprawach „wolnej konkurencyi“ przedstawia nowa ustawa dla komitetów giełdowych. Komitety mają mieć nadzór nad normowaniem cen prawidłowych na rozliczne towary, papiery towarzystw akcyjnych, jak również ustanawiać rozmiar frachtów i pilnować prawidłowego prowadzenia operacyj handlowych. Obowiązkiem komitetów będzie także sporządzanie szczegółowych sprawozdań o ruchu miejscowego handlu, oraz komunikowanie rządowi wiadomości dotyczących handlu, przemysłu i żeglugi.

— Na ostatnim zjeździe przemysłowców górników postanowiono zaprowadzić podatek od wagonu, w celu utworzenia kapitału „ubezpieczeń“ od wypadków okaleczeń i śmierci robotników kopalnianych. Obecnie pobieraną bywa opłata po 20 kop. od wagonu, z czego 3 k. idzie na ubezpieczenie. Według *Grażdanina*, spodziewać się można zebrania tą drogą w roku bieżącym 40,000 rs., opierając się na rachunku przybliżonym do przeszłorocznego, gdyż w roku ubiegłym przewieziono 200,000 wagonów węgla.

— Według *St. Pet. Wied.*, w całem państwie znajduje się obecnie 110 więzień. Największą ich część stanowią zwykłe miejsca zamknięcia, mianowicie 71; oddziałów aresztanckich poprawczych znajduje się 32 i siedem więzień „katorżnych“ z ciężkiemi robotami, mianowicie: nerczyńskie, aleksandrowskie, ileckie, przymorskie, sachalińskie, tobolskie i charkowskie.

— Według *St. Pet. Wied.*, cechy rzemieślnicze starają się o zaprowadzenie osobnych sądów, kar za złą robotę i za przyjmowanie czeladników, nieposiadających świadectwa z ostatniego miejsca pobytu, jak również o to, żeby oprócz rzemieślników nikt nie był dopuszczanym do dostaw na wyroby rzemieślnicze.

— Międzynarodowa konferencya brukselska w sprawie taryf celnych ukończyła już swoje prace. Celem jej było ustanowienie ogólnego międzynarodowego organu dla rozpatrywania kwestyj polityki celnej. Sporządzonym został protokół, dotyczący urządzenia biura i programu tego organu. W konferencyi brało udział 35 rządów zagranicznych. Wydatki na utrzymanie biura podzielone będą pomiędzy wszystkie rządy, proporcyonalnie do wytwórczości każdego państwa.

— Jekaterynosławscy, woronezcy i kijowscy hodowcy owiec otwierają na główniejszych rynkach zagranicznych własne agentury dla handlu wełną, bez pośrednictwa komisantów. Agentury dbać będą o niedopuszczenie na wywóz za granicę poślednich gatunków.

— Kupcy moskiewscy założyli nowe Towarzystwo składów towarowych, asekuracyi i transportów, które siedzibę swoją mieć będzie w Moskwie, a w innych miastach otwierać będzie filie.

— Nowy strejk w londyńskich dokach św. Katarzyny zakończył się ustąpieniem kapitalistów na korzyść robotników. Jednocześne bezrobocie w dokach w Cardiff trwa nadal. Robotnicy żądają podwyższenia płacy i skrócenia dnia roboczego, na co się nie chcą zgodzić dyrektorowie doków. Strejk powoduje wstrzymanie ruchu handlowego na kanale Brystolskim.

— Na południowym brzegu rzeki św. Wawrzyńca straszliwy orkan poczynił olbrzymie spustoszenia. Część stanu Massachuset zupełnie opustoszała. Przeszło 90 domów leży w gruzach; 6 osób zabitych, 35 ciężko rannych dogorywa w szpitalach. Straty obliczają na parę milionów dolarów.

Sprawy szkolne. Katedrę kliniki dyagnostycznej w uniwersytecie warszawskim po p. Stolnikowie objął p. Tumas, profesor tegoż uniwersytetu.

— W okręgu naukowym warszawskim mają być wkrótce otworzone internaty rządowe. Internaty będą gubernialne, zastępujące pensyonaty i stancye prywatne dla młodzieży wiejskiej, uczęszczającej do gimnazyów i szkół realnych, oraz miejskie, utrzymywane ze środków miejskich. Uczniowie w internatach zostaną podzieleni na dwie kategorye: opłacających możliwie niską kwotę i bezpłatnie, jako stypendyści, przemieszkujących. W internatach, oprócz żywności i mieszkania, uczniowie otrzymują korepetycye, przyczem za naukę przedmiotów nieobjętych programem szkolnym, trzeba będzie dopłacać oddzielnie. Odzież, książki i przybory uczniowie powinni mieć własne.

— Warszawska szkoła pocztowo-telegraficzna z kursem trzyletnim ma być przekształcona na wyższy zakład naukowy z kursem trzyletnim. Nosić będzie nazwę instytutu technicznego pocztowo-telegraficznego. Kończący ten zakład ze stopniem technika telegrafu, otrzymywać będą natychmiast posady rządowe na kolejach żelaznych.

Prasa. Główny zarząd prasy wydał rozporządzenie, ażeby wszelkie ogłoszenia o środkach leczniczych, kosmetykach itp., dozwolonych przez władze lekarskie, umieszczane były przedewszystkiem w *Gońcu urzędowym*, w formie przyjętej przez władze. Dopiero potem ogłoszenia te mogą być w ścisłem tłomaczeniu powtarzane przez inne pisma.

— Jednocześnie tenże zarząd zawiadomił gubernatorów, że wszelkie ogłoszenia, przedrukowane z *Gońca*, jak również podawane przez lekarzy i dentystów w związku z ich fachem, nie mają podlegać cenzurze policyjnej, lecz mogą być umieszczane w pismach za zezwoleniem właściwej władzy lekarskiej. (*Graždanin*).

W Chełmie powstało „ruskie towarzystwo miłośników sztuki dramatycznej i muzyki," zatwierdzone już przez ministeryum spraw wewnętrznych.

Sprawy kolejowe. Główny kierunek nad studyami linii kolejowej Białystok-Mława, które się rozpoczną w sierpniu, obejmuje p. Kuźmienko, naczelny inżenier kolei poleskich. Naprzód ma być zbadana droga od Białegostoku do Łomży i od Łomży do Małkini. Studya potrwają cztery miesiące i przed zimą będą ukończone. Budowa tych dwóch linij rozpoczęta będzie na wiosnę, wytknięcie zaś linii Łomża-Mława nastąpi dopiero w roku przyszłym.

Przemysł. Na skutek starań petersburskiego Tow. popierania przemysłu i handlu, cła, pobierane za wyroby bawełniane, wywożone do Rumunii, będzie rząd zwracał kupcom. Prócz tego bodźca do wywozu, zbyt towarów ruskich w Rumunii zyska poparcie w stałym bazarze tam założonym, na którego utrzymanie wyznaczono 20,000 rs.

— Kamień brukowy, sprowadzany dotąd na nasze potrzeby ze Szwecyi, wkrótce ustąpi miejsca kamieniowi z łomów krzeszowickich. Ten bowiem okazał się lepszym i tańszym od szwedzkiego. Łomy w Krzeszowicach (majątek hr. Jędrzeja Potockiego) obsługują nim już oddawna bruki lwowskie i krakowskie.

Pożary. Miasteczko Hancewicze, w pow. lidzkim, gub. wileńskiej, spłonęło do szczętu. Pastwą płomieni stało się 140 domów. W jednym z nich śmierć znalazła cała rodzina włościańska, z 6 osób złożona.

— Miasteczko Radziwiliszki (gub. wileńska) uległo pożarowi. Ogień zniszczył 138 domów i 174 budynków gospodarskich.

W Radomiu utworzyło się kółko osób, wysyłające dzieci słabowite rodziców niezamożnych na kolonie letnie. Pierwszą partyę, złożoną z 30 dzieci, wysłano do Solca na sześciotygodniowy pobyt.

Parcelacya. W gub. płockiej, przy pomocy Banku włościańskiego, sprzedane być mają wkrótce części następujących nieruchomości ziemskich: Lelic, Smoszowa i Łubek w pow. płockim, Smólni, Stopina i Pianek w pow. sierpskim. Grunty znajdują licznych nabywców. Ze strony wielkich posiadaczy będzie to krok, mający na celu regulacyę służebnościową z włościanami okolicznymi.

Mereczowszczyzna, majątek p. Wandalina Puslowskiego, w gub. grodzieńskiej, za 520,000 rs. przeszedł w ręce adwokata petersburskiego. Poprzedni właściciel otrzymał jednak z pół miliona zaledwie 45,000 rs. Do dóbr Mereczowszczyzna należy miasteczko Kossowo z 3,000 ludności i fabryką sukna.

Bibliografia ludowa. W. Olszewski, *Maszyny parowe i koleje żelazne*, str. 48, Warszawa.

— B. Grabowski, *Na służbę bożą*, str. 46, Warszawa.

— Brolis, *Jurgis Durnalis*, str. 44, Warszawa.

— K. Wodzicki i W. Taczanowski, *Nasi wrogowie i przyjaciele śród ptaków*, str. 78, Warszawa.

✠ **Zmarli.** Maksymilian Fajans, lat 64, jeden z wybitniejszych litografów polskich.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Dr. J. R. w Karlsruhe. Kasa Mianowskiego udziela zapomóg lub pożyczek wszystkim pracującym na polu naukowem, wyjąwszy poddanych zagranicznych. Adres zarządu: ul. hr. Berga 7, Bank handlowy.

Pani Maryi L. Artykuły tej treści drukowane być nie mogą.

Panu Kazim. B. Nasza *Psychologia dziecka*, która niema nic wspólnego z wydanym obecnie pod tą nazwą przekładem książki francuskiej, ukaże się w jesieni.

Panu W. Kr. w Krakowie. W prasie ten jegomość jest już dawno wylegitymowany ze swego szlachectwa w sromocie.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłano jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

OGŁOSZENIA.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Ценсурою, Варшава 20 Іюля 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.